

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 25 (1035) 22 CZERWCA 1980 R. CENA 2 ZŁ

W NUMERZE:

Skutki Słowa Bożego ● Dwustronne rozmowy pomiędzy Kościołem Polskokatolickim i Kościołem Rzymskokatolickim na temat Chrztu Świętego ● Uwaga: lato ● Jan Chrzyciel ● Tam, gdzie Wisła modra płynie ● Legendy polskie ● Noc świętojańska ● Porady



W SOBÓTKOWY WIECZÓR

*Jan święty Chrzyciel przyszedł. Więc
palą sobótki,
A wokoło niej, śpiewając, skaczą wiejskie
młódki.
Nie znoście tych zwyczajów! Co nas
z wieków doszło
I wiekiem się ustalo, trzeba, by w wiek
poszło.*

JAN GAWIŃSKI (1622—1684)

Gdy zapada zmrok, w wigilię św. Jana, w najkrótszą noc w roku, nad brzegami rzek zbierają się młodzi, aby staropolskim zwyczajem, znanym jeszcze w pogańskich czasach, świętować sobótkę. Jak nakazuje zwyczaj, sobótką jest świętem młodości, wróżb i radości. Główną jej atrakcją stanowiło zawsze rozpalenie ognisk, przy których grupowała się cała ludność wsi czy miasteczka. Przy ogniskach odbywały się najrozmaitsze popisy: śpiewano więc stare, ludowe pieśni, prawiono dowcipy i zagadki. Można przyjąć, że występy te stanowiły przegląd artystycznego dorobku wsi. Podczas sobótki panował radosny nastrój. Najwięcej zamieszania wywoływały skoki przez ognisko, podczas których młodzież popisywała się swą zręcznością.

W wieczór sobótkowy dziewczęta wily wianki z różnego kwiecica, wkładały w nie świeczki, aby były bardziej widoczne w ciemnych nurtach wody, i z bijącym sercem patrzyły, w która stronę wianek ich popłynie. Czuwający w czółnach młodzieńcy rzucali się w pogoń za płynącymi wianuszkami. Wyłowienie wianka wróżyło dziewczynie rychłe małżeństwo.

Ze staropolskim obrzędem sobótkowym utrzymywała się też wiara w istnienie legendarnego kwiatu paproci. Kto znalazł i zerwał kwitnącą paproć, ten miał — podobno — zapewnione szczęście i wszelakie powodzenie w życiu

I dziś turyści z różnych stron świata chętnie przyjeżdżają do Polski, szczególnie w lecie, aby na własne oczy zobaczyć piękne święto zwane u nas teraz — Wiankami.

O sobótkowych tradycjach
czytaj na str. 13

SKUTKI SŁOWA BOŻEGO

Po okresie działalności w Judei — gdzie Jezus nie spotkał się z życzliwym przyjęciem — skierował On swe kroki w strony ojczyzny. Tutaj znalazł bardziej podatny grunt. „Galilejczycy przyjęli go, ponieważ widzieli wszystko, co uczynił w Jerozolimie podczas święta” (J 4,45) Paschy. Toteż kraina ta oraz znajdujące się na jej terenie jezioro Genezaret, zwane również morzem Galilejskim lub Tyberiadzkim (obecnie: Bahr Tabarija), stały się świadkami wielu ważnych nauk Zbawiciela i dokonanych przez Niego cudów.

„Jest to rozległe jezioro, mniej więcej na pięć godzin (płynięcia łodzią wiosłową — przyp. autora) długie, na dwie godziny szerokie. Kształt ma prawie owalny, trochę podobny do winnego grona. Wschodnie jego wybrzeże, gdzie Wyżyna Perejska spada w wodę stromą, urwiskami poszarpaną ścianą, jest ponure i puste. Brzeg zachodni... ma charakter łagodny. Jezioro rozlewa się tu szerzej, jakby w jedną wielką zatokę; zamiast groźnych skał otacza ją wieniec zielonych pagórków. Wzgórza te (wznoszące się amfiteatralnie do wysokości 300 metrów nad poziom jeziora — przyp. autora) schodzą gdzieniegdzie nad samą wodę, gdzieniegdzie cofają się w głąb, ustępując miejsca uroczym dolinom. Na głównej z tych dolin, zwanej Genezar, przytułona do północnego wału wzgórz, leżała wioska Betsaida” (J. Rostworowski: „Obrazki z życia Zbawiciela” — Kraków 1947, str. 132). Tutaj właśnie — naprzeciw Betsaidy — miały miejsce wydarzenia opisane w dzisiejszej Ewangelii (Łk 5,1—11).

Ewangelista Łukasz wprowadza nas bezpośrednio w sedno sprawy. Pisze bowiem: „Pewnego razu, gdy (Jezus) stał nad jeziorem Genezaret, ... tłum tłoczył się dokoła niego, by słuchać Słowa Bożego” (Łk 5,1). Ludzie ci przybyli zapewne ze wszystkich stron Galilei, a nawet z dalszych okolic ziemi izraelskiej, zwiabieni sławą Proroka z Nazaretu. Nie brakło między nimi ciekawych, którzy zbiegli się by zobaczyć cuda, jakie czynił Syn Boży. Wielu jednak przybyło po to, aby słuchać Jego nauki. A ponieważ słuchaczy było wielu — dla uniknięcia ścisnu oraz by wszyscy mogli dobrze Go słyszeć — zdecydował się Zbawiciel na pewien praktyczny krok.

Chrystus — jak relacjonuje Ewangelista — „ujrzał dwie łodzie, stojące u brzegu jeziora; ale rybacy, wyszedłszy z nich, płukali sieci” (Łk 5,2). Był zapewne wczesny ranek i rybacy niedawno przybili do brzegu. Właściciele zaś, stojąc po kolana w wodzie, płukali sieci. Równocześnie oczyszczali je z wodorostów, kamieni, a nawet kawałków drewna, które zebrały się tam w czasie całonocnej bezskutecznej pracy. Byli to Szymon z bratem Andrzejem i dwaj synowie Zabadeusza: Jakub i Jan. Właśnie skończyli pracę i zamierzali udać się na spoczynek. Jednak stało się inaczej.

W tej bowiem chwili Nauczyciel z Nazaretu „wsiadłszy do jednej z tych łodzi, należącej do Szymona, prosił go, aby nieco odjechał od brzegu” (Łk 5,3a). Decyzja ta miała swoje uzasadnienie. Gdy bowiem jezioro Tyberiadzkie jest spokojne, zastępuje w bezruchu i ciszy, szum fal ustaje i nie przeszkadza słuchać głośnej mowy. Poleciał więc Zbawiciel odpiąć kawałek od brzegu, by z odległości przemówić do zgromadzonych. Dzień był pogodny i tafla jeziora mieniła się w blaskach słońca. Na tle błękitu, kilkanaście kroków od brzegu kołysała się łódź, a Chrystus „usiadłszy (w niej) nauczał rzesze” (Łk 5,3b). Zgromadzony lud w malowniczych grupkach obsiadł wzgórze, opadające amfiteatralnie w stronę jeziora. Wokoło zaś panowała niezwykła cisza, gdyż wszyscy w skupieniu słuchali słów boskiego Nauczyciela. Ewangelista nie wspomina, o czym mówił Jezus. Zapewne jednak nauczał o Królestwie niebieskim, podobnym do sieci zapuszczonej w morze, albo do kwasu ukrytego w trzech miarach mąki, albo wreszcie o człowieku, który posiał dobre ziarno na roli swojej, a znalazł potem kąkol podrzucony tam ręką wroga.

Kiedy zaś Syn Boży przestał przemawiać z tej kołyszącej się mównicy, nie zapominał o potrzebie wynagrodzenia jej właściciela. Zwracając się bowiem do Szymona, powiedział: „Wyjdziesz na głębię i zarzucisz sieci swoje na połów” (Łk 5,4b). Polecenie takie mogło wydawać się Piotrowi ironią, gdyż dzień nie jest sposobnym czasem do połowu. Nie miał jednak odwagi sprzeciwić się Jezusowi, gdyż rzekł: „Mistrzu, całą noc ciężko pracując, nic nie złowiliśmy; ale na słowo twoje zarzucę sieci” (Łk 5,5). I wbrew zasadom rzemiosła rybackiego, „gdy to uczynili, zagarnęli wielkie mnóstwo ryb, tak iż sieci się rwały. Skinęli więc na towarzyszy w drugiej łodzi, aby im przyszli z pomocą, i przybyli, i napełnili obie łodzie, tak iż się zanurzały” (Łk 5,6—7).

Nie wspomina św. Łukasz, jak zareagowały na wystąpienie Chrystusa słuchające go tłumy. Natomiast słowa Zbawiciela oraz cudowny połów ryb — jak to wynika z tekstu Ewangelii — wywarły na Szymonie i jego towarzyszach ogromne wrażenie. Świadczą o tym jego słowa: „Odejdź ode mnie, Panie, bom jest człowiek grzeszny” (Łk 5,8b) oraz fakt, że „wyciągnąwszy



Jezus „wsiadłszy do jednej z tych łodzi, należącej do Szymona, prosił go, aby nieco odjechał od brzegu; i usiadłszy, nauczał rzesze z łodzi. A gdy przestał mówić, rzekł do Szymona: Wyjdziesz na głębię i zarzucisz sieci swoje na połów. A odpowiadając Szymon, rzekł: Mistrzu, całą noc ciężko pracując, nic nie złowiliśmy; ale na Słowo twoje zarzucę sieci. A gdy to uczynili zagarnęli wielkie mnóstwo ryb, tak iż się sieci rwały” (Łk 5,3—6)

łodzi na ląd, opuścili wszystko i poszli za nim” (Łk 5,11). W tym momencie wszyscy oni uświadomili sobie na pewno to, co potem wyznał Jezusowi Szymon-Piotr, mówiąc: „Panie!... Ty masz słowa żywota wiecznego. A myśmy uwierzyli i poznali, że Ty jesteś Chrystusem, Synem Boga żywego” (J 6,68—69). Uwierzyli w Jego mesjańskie posłannictwo oraz poznali, że Słowo Boże może im zapewnić życie wieczne.

SŁOWO BOŻE — pochodzące od Ojca niebieskiego — jest jednym z największych dobrodziejstw udzielonych ludziom. Stwierdza to autorytatywnie Chrystus, mówiąc: „Nauka moja nie jest moja, lecz tego, który mnie posłał” (J 7,16). Prawdę tę z wielkim naciskiem podkreśla również św. Paweł, gdy pisze: „Oznajmiam wam bracia, że ewangelia, którą zwiastowałem, nie jest pochodzenia ludzkiego;... lecz otrzymałem ją przez objawienie Jezusa Chrystusa” (Gal 1,11—12). Zatem — jak sama nazwa wskazuje — „słowo” to nie jest słowem ludzkim, ale słowem samego Boga. Słowem tym Ojciec niebieski, za pośrednictwem Kościoła, poucza i oświeca swe ziemskie dzieci, napomina je i karci. Stąd też Zbawiciel zwracając się do apostołów oraz ich następców — biskupów i kapłanów — powiedział: „Kto was słucha, mnie słucha, a kto wami gardzi, mną gardzi. A kto gardzi mną, gardzi tym, który mnie posłał” (Łk 10,16).

SŁOWO BOŻE JEST ŹRÓDŁEM WIARY. Fakt ten przypomina Apostoł Narodów, gdy mówi: „Wiara jest... ze słuchania, a słuchanie przez słowo Chrystusowe” (Rz 10,17). Wyrażenie „słuchanie” jest tutaj synonimem przepowiadania, czyli głoszenia nauki objawionej przez Boga. Przyjęcie Słowa Bożego rodzi w duszach wiarę, bez której „nie można podobać się Bogu” (Hbr 11,6). Ona jest najpewniejszym oparciem na drodze doczesnej wędrówki. Daje temu wyraz św. Paweł, pisząc: „Mowa moja i zwiastowanie moje nie były głoszone w przekonywujących słowach, lecz objawiły się w nich Duch i moc, aby wiara wasza nie opierała się na mądrości ludzkiej, lecz na mocy Bożej” (1 Kor 2,4—5).

Przeznaczeniem człowieka jest wieczne szczęście w niebie. Zaś wypełnianie Słowa Bożego stanowi gwarancję osiągnięcia życia wiecznego. Bo — według zapewnienia Boga Człowieka — „tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny” (J 3,16). Tenże Syn Boży kiedy indziej powiedział: „Ja jestem droga i prawda, i żywot, nikt nie przychodzi do Ojca tylko przeze mnie” (J 14,6). On bowiem, który jest „życiem” w sensie nadprzyrodzonym, już tu na ziemi udziela go swoim wyznawcom oraz prowadzi ich do pełni życia w Królestwie Bożym.

Słowo Boże głoszone jest z ambon w świątyniach naszych. Poznajemy je również przez czytanie Pisma świętego i literatury religijnej. Słuchajmy więc chętnie kazań w każdą niedzielę i święto. Starajmy się o to, by w każdej rodzinie przynajmniej piętnaście minut w tygodniu przeznaczyć na wspólne czytanie Ewangelii czy też innych ksiąg Nowego Testamentu. Niech w żadnym naszym domu nie zabraknie książy religijnych oraz Tygodnika „Rodzina”. Za ich bowiem pośrednictwem i do naszych dusz dotrze Słowo Boże. Według jego wskazań starajmy się postępować w naszym codziennym życiu. A wówczas i do nas odnosić się będą słowa Chrystusa: „Błogosławieni..., którzy słuchają Słowa Bożego i strzegą go” (Łk 11,28).

Ks. JAN KUCZEK

W TYGODNIU: 22.VI — IV Niedziela po Zesłaniu Ducha Świętego (teksta z Listu św. Pawła apostoła do Rzymian 8,18—23; ewangelia według św. Łukasza 5,1—11) 24.VI — wtorek — św. Jana Chrzcziciela 26.VI — czwartek — św. Jana i Pawła, męczenników († III) 28.VI — sobota — św. Ireneusza, biskupa i męczennika († 202)

W TYGODNIU:

Każdego roku wyznawcy z parafii pw. Świętego Ducha w Warszawie, przy ul. Szwoleżerów 4, urządzają wycieczkę turystyczno-krajoznawczą. Podobnie było i w tym roku. Czterdziestoosobowa grupa pod przewodnictwem proboszcza ks. Tomasza Wojtowicza udała się na trzydniową wycieczkę autokarem. Trasa wiodła z Warszawy do Wieliczki, Tarnowa, Krakowa, Oświęcimia, Żarek i Częstochowy.

Pierwszego dnia — 9 maja — zwiedziliśmy Wiliczkę i Tarnów. Drugiego dnia byliśmy już w Krakowie. Najbogatszy program mieliśmy trzeciego dnia wycieczki, tj. 11 maja. Tego dnia zwiedziliśmy Oświęcim, później Żarki, gdzie grupa wycieczkowa uczestniczyła w Mszy świętej i wreszcie Częstochowę, by późnym wieczorem dotrzeć do Warszawy. Każda wycieczka to nie tylko odpoczynek, odprężenie, ale i nowe wrażenia, nowe doświadczenia i powiększenie wiadomości o swoim rodzinnym kraju, jego pięknych zabytkach. To poznawanie historii, kultury i rodzinnej tradycji.

Tegoroczna wycieczka miała bogaty program. Trudno wszystko opisać w jednym reportażu. Dlatego — zgodnie z chronologią — najpierw kilka słów o Wieliczce.

Z Warszawy wyjeżdżamy rano. Na ulicach było prawie pusto. Powodzenie każdej wycieczki w dużej mierze zależy od pogody, no i oczywiście od samych wycieczkowiczów. Gdy wyjeżdżaliśmy z Warszawy świeciło już słońce, a w autokarze panował dobry, wesoły nastrój. Pan Marek przygotował nawet specjalny okolicznościowy śpiewnik. Nakład 30 egzemplarzy, wydanie pierwsze — a w nim nawet zaznaczenie trasy wycieczki i jej termin! Już po kilku kilometrach cały autokar rozbrzmiewał wesołym śpiewem.

Były też po drodze i przystanki na parkingach. Bractwo wysypywało się z autokaru, a każdy taszczył ze sobą jakąś torbę czy teczkę. Rozpocynało się konsumowanie własnych zasobów na świeżym powietrzu. Humor dopisywał. Postoje w lesie należały do stałego programu wycieczkowego. Aż dziw bierze, ile to różnych smakołyków ludziska potrafią zabrać ze sobą! I starczyło tego na całe trzy dni. Oczywiście, mieliśmy zapewnione oprócz tego całodzienne wyżywienie przez „sport Tourist”, i to przez wszystkie trzy dni trwania wycieczki.

Im bliżej Krakowa, tym coraz rzadziej ukazywało się słońce. Wreszcie — zostało całkiem zakryte przez chmury. Znaleźliśmy się w strefie przelotnych opadów. W takiej aurze minęliśmy Kraków i dotarliśmy do Wieliczki.

W Wieliczce zjedliśmy jako taki obiad. Wszystkim smakowało, jako że nie było innego wyboru. Z nieba sączył drobniutki „kapuśniaczek”, zrobiło się też chłodno. Naszym celem w Wieliczce była kopalnia soli.



Grupa wyznawców z parafii polskokatolickiej pw. Świętego Ducha w Warszawie przy ul. Szwoleżerów 4 przed kopalnią soli w Wieliczce, której zwiedzanie stanowiło jeden z etapów wycieczki

Reportaż z wycieczki zorganizowanej przez parafię pw. Świętego Ducha w Warszawie



Rzeźba w soli, przedstawiająca ucieczkę św. Rodziny do Egiptu



Wieliczka. Rzeźba w soli: Ostatnia Wieczerza

dalszy ciąg na str. 4

Szybko i sprawnie załatwiliśmy bilety wejściowe. Po chwili cała nasza grupa schodziła schodami na tzw. I poziom. Oznacza to ni mniej, ni więcej, tylko zejście na głębokość 64 metrów po 394 stopniach. Całe szczęście, że w dół schodzi się lekko! Nie był to jednak kres wycieczki. Po zwiedzeniu komór na I poziomie, zeszliśmy jeszcze niżej. Cała trasa wyniosła ponad 5 km, a skończyła się na głębokości 135 m. Zwiedzanie trwało ponad 2 godziny.

Z podziwem patrzyliśmy na tzw. komory, czyli pozostałości po wyrobiskach górniczych, gdzie wydobywano sól. A wszystko to zostało wydrążone, wydobyte mozolną pracą ręczną, bez maszyn i bez materiałów wybuchowych. Komory zadziwiają swą wielkością. A ponieważ górnicy nie tylko kopali sól, ale w niej rzeźbili, więc w wielu komorach można podziwiać wspaniałe rzeźby, wykonane z soli. Trudno byłoby opisać to wszystko, zresztą nie potrafiłbym chyba tego dokonać. To po prostu trzeba zobaczyć!

W komorze „Drozdowice”, wysokiej na 20 metrów, podziwialiśmy wszyscy wykuty w soli pomnik dwóch cieśli-górników. Na jednej ze ścian wypisane są na dwóch tablicach strofy pieśni górniczej. Słowa proste, ale jakże ujmujące, mówiące o trudnej i pełnej niebezpieczeństw, ale odpowiedzialnej pracy górników.

*„Gdy z ciemnych otchłani
Powoła Bóg nas
I w jasne ulecim przezrocze
A bracia górnicy
W niebiosach u bram
Z okrzykiem nas przyjmą.
Szczęść Boże,
Szczęść nam.”*

Na drugiej tablicy widnieje następujący tekst:

*„A gdy do domu
bez szkody wrócimy
I naszych miłych
W zdrowiu zobaczymy
Wnet Ci zanuci
Wielkiej łaski Panie.
Serdeczne od nas
Przyjm podziękowanie”.*

Największe wrażenie zrobiła na nas Kaplica Księżnej Kingi. Chodnikiem górniczym weszliśmy na obszerny balkon. Z wysokości balkonu zobaczyliśmy wspaniały widok. Poniżej nas rozciągała się obszerna podziemna świątynia. Sama Kaplica znajduje się na głębokości 100 metrów. Wszystko — wykute w soli. Posadzka również. Kaplicę, która ma aż 54 metry długości, 17 metrów szerokości i 12 metrów wysokości, oświetla pięć wspaniałych żyrandoli z kryształów solnych. Na szczególną jednak uwagę zasługuje jedyna w świecie galeria siedmiu rzeźb wykutych na ścia-



4. i 5. Postoje na parkingu i konsumowanie własnych zasobów na świeżym powietrzu — to stały punkt programu kilkudniowych wycieczek

nach kaplicy, przedstawiających ważniejsze wydarzenia z życia Jezusa Chrystusa.

Po zwiedzeniu licznych komór dotarliśmy na III poziom, usytuowany na głębokości 135 metrów. Zbiory muzeum mieszczą się w 12 dużych komorach. Zobaczyliśmy tam m.in. ekspozycję ilustrującą najważniejsze wydarzenia w długiej historii walk górników o swoje prawa, kariat konny wraz z osprzętem, pompę wodną, narzędzia, które służyły górnikom do wydobywania soli, a więc kilofy, młoty itp. Aż dziw bierze, gdy człowiek pomyśli, że tak wielkie ilości soli wydobywano tak prostymi narzędziami!

Solidnie zmęczeni, ale i w pełni zadowoleni, dotarliśmy do miejsca, skąd wyjeżdżało się windą na powierzchnię. To była nowa atrakcja. Ale kto chce

przejechać się windą górniczą, która zabiera jednorazowo 36 osób i mknie w górę jak rakieta, musi udać się do Wieliczki. Z pewnością nie będzie żałował ani czasu, ani trudu, ani pieniędzy wydanych na wycieczkę...

Był już prawie wieczór, gdy dotarliśmy do Tarnowa. Zachodzące słońce wyrzuciło spoza chmur. W jego ostatnich promieniach podziwialiśmy stary rynek w Tarnowie, z zabytkowym ratuszem i szeregiem kamienic, a także bryłę katedry tarnowskiej. Później zaś — zjedliśmy smaczną kolację i udaliśmy się na spoczynek. Trudy wycieczki dopiero się zaczęły. Następnego dnia czekało nas zwiedzanie Krakowa. Ale o tym, co tam zobaczyliśmy, dowiedzą się, w wielkim skrócie, nasi Czytelnicy w następnym numerze „Rodziny”.



Dwustronne rozmowy pomiędzy Kościołem Polskokatolickim i Kościołem Rzymskokatolickim na temat Chrztu Świętego

W dniu 7 maja br. przeprowadzono w Warszawie rozmowy pomiędzy pełnomocnymi przedstawicielami Kościoła Polskokatolickiego i Kościoła Rzymskokatolickiego na temat sakramentu Chrztu Świętego. Kościół Polskokatolicki reprezentował ks. doc. Edward Bałakier i ks. dziek. mgr Tomasz Wojtowicz. Stronę Kościoła Rzymskokatolickiego reprezentował ks. doc. Lucjan Balter SAC i ks. dr Stefan Hoysa SJ.

Po zaprezentowaniu teologii i liturgii Chrztu św. w swoich Kościołach, przedstawiciele stron postanowili przedstawić Władzom Kościelnym wnioski i opinie o wzajemnym uznaniu ważności Chrztu św. i wzajemnym wydaniu wiernym w razie potrzeby metryki Chrztu.

Na temat teologii Chrztu św. uzgodniono między innymi, że Chrzest jest pierwszym Sakramentem dającym możliwość przyjęcia innych Sakramentów, wprowadza człowieka do Kościoła i włącza w tajemnicę śmierci i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Chrzest daje duchowe niezatarte znamię i dlatego jest **niepowtarzalny**. Z pozytywnej woli Jezusa Chrystusa Chrzest jest konieczny do zbawienia dla wszystkich. W wyjątkowych wypadkach Chrzest z wody może

być zastąpiony przez Chrzest krwi albo pragnienia. Chrztu świętego można udzielić każdemu nieochrzczoneму niezależnie od wieku. U człowieka dorosłego wymagana jest wiara, intencja przyjęcia Chrztu św. i nawrócenie (żał za grzechy, wyrównanie wyrządzonych krzywd, postanowienie życia w zgodzie z przykazaniami Bożymi itp.). Przy udzielaniu Chrztu św. obowiązuje forma trynitarna (W imię Ojca, i Syna i Ducha Świętego). Materią Chrztu Świętego jest obmycie wodą poprzez polanie względnie zanurzenie lub pokropienie. Szafarzem Chrztu św. jest biskup, kapłan lub diakon. W wypadku niebezpieczeństwa śmierci każdy człowiek może udzielić ważnie Chrztu św., byleby miał intencję czynienia tego, co czyni Kościół. **Zabrania się praktyki ponownego i warunkowego udzielania Chrztu św.**, chyba że zaistnieje rzeczywiste poważna, uzasadniona wątpliwość, co do samego faktu udzielenia Chrztu albo co do jego ważności.

Uzgodnienia Komisji Teologicznej zostaną przeanalizowane przez Episkopaty poszczególnych Kościołów.

Protokół końcowy z rozmów został podpisany przez pełnomocnych przedstawicieli Kościoła Polskokatolickiego i Kościoła Rzymskokatolickiego.

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (463)

K Istnienie człowieka jest uzależnione od myślenia, przeto człowieka, który nie myśli, nie ma; człowiek, który nie jest świadom swego myślenia nie może być pewnym swego istnienia. A poznając siebie, swoje istnienie, poznają w sobie — uczy Descartes — różne idee. Odnajduję w sobie również idee istoty najdoskonalszej. Tę ideę istoty najdoskonalszej, zwaną Bogiem, odnajduję w sobie, jednak nie w sensie stwórczym. tylko dlatego, że istotnie istota taka musi istnieć rzeczywiście, skoro istnieje we mnie jako idea. Dlaczego? Dlatego, że istnieć w rzeczywistości, a nie tylko w myśli, jest rzeczą doskonalszą. Nadto, ja sam nie jestem przyczyną istnienia we mnie tej idei, przyczyna istnieje poza mną, pochodzi od rzeczywiście istniejącej istoty najdoskonalszej, którą jest Bóg. Kartezjusz dalej również z istnienia człowieka wnioskuje o konieczności istnienia Boga: teraz istnieję, a w następnej chwili? To nie zależy ode mnie, to zależy od istoty — przyczyny — Boga, który mój byt zachowuje.

Kartezjusz dowodzi następnie, że wprawdzie przyjmujemy istnienie świata zewnętrznego, ale może ludzimy się, ostatecznym wszelako gwarantem prawdziwości naszego poznania i przekonania o istnieniu świata zewnętrznego jest prawdziwość Boga. Natura ludzka pochodzi od Boga. I gdybyśmy trwali w ułudzie w stosunku do świata poza nami będącego winę za to ponosiłby Bóg jako nasz Stwórca. Oczywiście tak być nie może. Bóg jest prawdą i stąd też nasze poznanie nie jest ułudą, jest rzeczywiste. Wobec tego poprzez wątplenie dochodzi człowiek ostatecznie do pewności...

Kartezjusz przyjmuje, że istnieją substancje duchowe i cielesne. Jakie one mają istotne właściwości? Istotną właściwość substancji duchowej stanowi myślenie, substancji cielesnej — rozciągłość. Przyczyną zaś i to jedyną wszelkich funkcji jest ruch. Kartezjusz głosi wreszcie tzw. teorię korpuskularną: materia na początku była rozdrobiona na atomy, którym Bóg dał ruch, ograniczoną liczbę ruchu, dzięki któremu wskutek przechodzenia ruchu z jednych atomów na drugie, czy w drugie, wyłoniły się wirowe ruchy rotacyjne łączące odpowiednie atomy i w ten spo-

sób, w sposób mechaniczny, nie celowo zamierzony, tworzyły się ciała niebieskie. A człowiek? W świecie istnieją tylko dwie substancje: dusza — myśląca, i ciało — rozciągle. Są to właściwie dwa odrębne światy, których natura jest zupełnie inna i których właściwie nic nie łączy. Stąd nawet zwierzęta — to tylko ciała. A człowiek — powtórzmy pytanie? Człowiek to też tylko ciało, w którym mieszka dusza... Mimo rozdziału duszy i ciała, ale wskutek ich współmieszkania rodzą się w człowieku pasje, namiętności, których Kartezjusz wlicza sześć zasadniczych: podziw, miłość, nienawiść, pożydlivość, radość, smutek. Pasje te człowiek ma wolą pod dyrektywami rozumu tak ująć, aby zdobyć wewnętrzzną wolność... Kartezjusz głosi determinizm intelektualny a indeterminizm woluntarystyczny. Rozum nie błądzi, bo rozum jedynie przedstawia przedmiot poznany, władzą wykonawczą, a więc podejmującą decyzję, jest wola. Od woli też zależy prawda lub błąd decyzji. Tak długo dopóki wola nie przekracza ograniczonych możliwości rozumu nie popełnia błędów, kiedy jednak granice te przekroczy, a i to uczynić może, bo jest nieograniczona (indeterminizm), nie mając oparcia w przedstawieniu przedmiotu poznania przez rozum — wydaje, a przynajmniej może wydać sąd fałszywy. Wola więc, chcąc uniknąć błędów, powinna słuchać rozumu. U Boga jest według Kartezjusza inaczej: Jest tak, jak jest, nie dlatego, że tak Bóg poznaje, ale jest tak, jak jest, bo tak Bóg chce, gdyby zaś Bóg chciał inaczej, niezależnie od rozumu, byłoby inaczej.

Kartuzi — to nazwa członków zakonu, założonego w drugiej połowie XI wieku przez św. Brunona z Kolonii (ur. ok. 1030, zm. 1101) w miejscowości Chartreuse, po łacinie Carhusia (stąd nazwa), we Francji koło Grenoble. Twórca zakonu, św. Brunon, oparł regułę zakonu na regule zakonu benedyktyńskiego, tylko znacznie ją oobstrzył. Poza zwykłymi ślubami zakonnicy byli i są zobowiązani m.in. dodatkowo do milczenia, nie jedzenia mięsa i do pracy. Ze względu zaś na swoje szczególnie mimo pracy intelektualnej i fizycznej

Właściwie to ono już jest. Od pewnego czasu przyzwyczajaliśmy się w ogóle nie zwracać uwagi na orzeczenia kalendarza astronomicznego. Jeszcze kalendarzowy początek wiosny robi jako takie wrażenie. Start sezonu letniego, jesiennego czy zimowego, w ściśle wyliczonym astronomicznym terminie, niewiele nas obchodzi. Zaszły widać poważne przetasowania w sposobie życia i bycia znacznych odłamów ludzkości, że nie zwraca ona uwagi na skądinąd istotne daty przelotów pór roku. Bodajże ostatnimi, którzy dość sztywno przestrzegają granic pór roku są rolnicy. Dałoby się wyliczyć jeszcze inne grupy, lecz po pierwsze są to zbiorowości znacznie mniejsze, a po wtóre pewności w tym nie ma. Myślę o rybakach, łowcach zwierzyny, leśnikach, zawodowych służbach meteorologicznych, lotnikach i odpowiadających im służbach, itp. Zostają więc rolnicy. Z nimi wiadomo. Z wiosną sieją i sadzą, latem żniwują, jesienią zbierają i znów sieją. Rytm pracy rolnika, dodajmy jeszcze dla porządku i dla miłujących precyzyjne klasyfikacje, rytm ogrodnika czy warzywnika, jest nadal wyznaczony przez rytm życia przyrody. I chyba tak już zostanie, dopóki ludzkość zjadać będzie naturalne owoce ziemi, a nie potrawy w skleconych fabrycznie i przemysłowo tubkach.

Inaczej ma się sprawa z mieszczuchami. Ci wiosnę, lato, jesień, zimą, poznają najczęściej z telewizji, gazet, z zapowiedzi zmiany pogody, z wyżu na niż lub odwrotnie oraz, co nie mniej dla nich istotne, z przemiany mody, z programami wyjazdów turystycznych i urlopowych, ewentualnie z wycieczkami za miasto na tzw. zieloną trawkę. Kiedy zaś ta trawka wschodzi, kiedy dojrzewa, mały ich to doprawdy obchodzi.

Mieszkańca wsi nie trzeba informować, że nastąpiła wiosna, chociaż różnorakie środki masowego przekazu zmówiły się, aby to czynić. To samo z latem. A gdy jesień następuje wszyscy jak jeden mąż grzmia o potrzebie przyspieszenia prac polowych, bo może zaskoczyć ich zima. Póki co jednak, nie słyszałem tak na dobre, by jakiegos rolnika zaskoczyła zima, lato czy dwie pozostałe pory roku. Kalendarz zaskakuje wyłącznie mieszkańców miast i odpowiednio im instytucje. By tedy nikogo nie zaskoczyło lato, informuję uprzejmie: lato za pasem.



UWAGA: LATO

Do lata trzeba się porządnie przygotować. To wcale nie takie dziwne. Przyzwyczajaliśmy się bowiem, aby tę porę roku traktować po macoszemu w zakresie niezbędnych przygotowań. A to okres wymagający. Mam na uwadze rzecz prosta mieszkańców miast, bo wieś obejdzie się bez moich rad. Więc przede wszystkim trzeba wcześniej zaoszczędzić niezbędną gotówkę, najlepiej w znacznych ilościach. Kto tego nie zrobi wcześniej, przepadł z kretešem. Nie napije się w gorące dni „Pepsi” lub „Coca-coli”, zaś w zimne dni nie pójdzie na koncert do kawiarni, ogrzać się czymś mocniejszym. Z temperaturą może być różnie. Jakkolwiek by nie było, zapasy finansowe się przydadzą. Człowiek lubi wydawać pieniądze głównie latem. Taka jest dziwna natura mieszczucha. Tu sobie loda kupi, tam wstąpi na piwo, to znowu nabędzie kilogram pomidorów, jak się rozpędzi to i na pomarańcze, banany nie pozostaje. Imienin latem też nie za mało. To wszystko kosztuje. Już nie będę wspominał komuś tam zaprojektowanego urlopu. Każdy wie, ile mu trzeba zaoszczędzić w pozostałe części roku, by mógł potem w stosownym okresie urlopowym użyć jak należy. A z właścicielami samochodów to w ogóle ciężka sprawa. Nie dość, że wię-

cej jeżdżą, zatruwając nam czyste letnie powietrze, to jeszcze płacić muszą za parkowanie w miejscach do tego przeznaczonych i nie przeznaczonych, mandacik tu, mandacik tam, gotówki coraz mniej.

Po wtóre, trzeba nam wszystkich znajomych i rodzinę dalszą powiadomić, że latem nie ma nas w domu. To bardzo bezpieczne wyjście z sytuacji. Ludzie umówili się jakos, że latem będą się szczególnie często odwiedzać. Czy trzeba tłumaczyć ile to kosztuje. Najlepiej powysłać listy z zawiadomieniami, że wyjeżdżamy, dajmy na to na urlop do Hiszpanii. Rodzinie i przyjacielom zrobi się dość przykro, że nas na to stać, a tymczasem u nas w domu święty spokój. W okresie jesiennym uprzejmie ich informujemy, że początkowo nie wysyłaliśmy, bo tam szalenie wszystko drogie, wiadomo, inflacja, kryzys itp. A tymczasem w zorganizowanym przez nas samych świętym spokoju, studiujemy sobie rozmaite przewodniki po Madrycie, San Sebastian czy innej Salamance lub Walencji i zawsze gotowi jesteśmy do barwnych opowieści o gorącym lecie pod niebem hiszpańskim, kiedy ich odwiedzamy, powiedzmy na Boże Narodzenie z całą rodziną.

Po trzecie, pilnie przygotowujemy się na pozostałe pory roku. W lato dni są niby dłuższe, ale czasu jakby mniej. Wiadomo, przyjdzie jesień, nadejdzie zima, wieczory będą dłuższe, to sobie przyzwyciężmy odpoczniemy przy telewizorze, w kapiach, wygodnie. Teraz trzeba wszystko to sobie przysposobić. Telewizor oddać do naprawy, jeśli zepsuty, kaptcie pozszywać, bo na nowe nie ma co wydawać zaoszczędzonych na lepsze okazje pieniędzy, kupić węgla, koksu i kto tam czym pali, mieszkanie wymalować, meble rozbite doprowadzić do ładu, aby się kompletnie nie rozleciały, napożyczać książek niby to na urlop, starych książek nie oddawać, by się nie ujawniło, że nie oddajemy już pięć lat, do kina nie chodzić, bo co się będzie robiło jesienią i zimą, na spacer z dziećmi owszem można, ale bez przesady, kawiarni unikać, bo się można zatruć lodami lub przeziębić z powodu zbyt mocno ochłodzonej wody mineralnej, nigdzie nie dzwonić, ani tym bardziej nie odbierać telefonów, ostatecznie telefon założyliśmy sobie dla własnej, a nie cudzej wygody. W ogóle należy życie uporządkować, bo nadchodzą chłodniejsze pory roku. Więc uwaga: lato za pasem.

JERZY GRAS

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (464)

modlitewne ukierunkowanie są zaliczeni do zakonów kontemplacyjnych. Istnieli istnieją, działając i żyjąc ściśle według przyjętej reguły w wielu państwach. W Polsce osiedlili się w XIII w. Należy wreszcie dodać i podkreślić, że obok wykonywanych przez nich pożytecznych prac, wyrabiali też doskonałe wina i znani są w świecie ze znakomitych likierów. Powstał nadto, w XII w., podobny zakon żeński (kartuzki).

Kary kościelne to ogólna nazwa tych środków, które stosują poszczególne Kościoły, zwłaszcza Kościół rzymskokatolicki, w stosunku do swoich wyznawców, duchownych i laików, czyli świeckich, w wypadkach przekroczenia przez nich obowiązujących praw i przepisów, w celu ich za ukarania zgodnie z obowiązującym prawem karnym, innym razem w celu ich upomnienia, a zawsze również w celu ich poprawy. Odnośnie nakazy i zakazy, prawa i obowiązki, oraz kary ujęte są w tzw. prawie kościelnym, albo w konstytucji kościelnej, lub w kodeksie prawa kanonicznego. W prawie karnym Kościoła rzymskokatolickiego, szczególnie znane i dawniej dość często stosowane były: ekskomunikacja, suspensy i interdykty.

Kasata klasztorów — (łac. cassare = unieważniać, odwoływać) — to nazwa aktu prawnego na podstawie którego władze państwowe dokonały z różnych względów likwidacji, czyli kasacji lub kasaty wielu klasztorów. Np. po stłumieniu powstania listopadowego władze pruskie zlikwidowały w Polsce w b. zaborze pruskim w 1833 roku wiele klasztorów, a później Bismarck zniósł jeszcze dalsze przekazując ich dobra głównie szkołom protestanckim. A car Aleksander II po stłumieniu powstania styczniowego zlikwidował w Polsce w b. zaborze rosyjskim 109 klasztorów. Natomiast ces. Józef II w b. zaborze austriackim w Polsce tuż po I rozbiórce Polski (1772 r.) zlikwidował wszystkie zakony kontemplacyjne, konfiskując ich majątki na rzecz skarbu austriackiego.

Kasselskie kolokwium — to nazwa zebrania, które zostało

zwołane dnia 1 lipca 1661 roku w mieście niemieckim Kassel, w celu znalezienia sposobu i takiego ujęcia całokształtu spraw wiary chrześcijańskiej łącznie z pojęciem Kościoła, jego ustroju i organizacji, aby móc pogodzić i pojednać ze sobą — kalwinów i → luteranów. Rolę inspiratorską odegrał tu prof. Jerzy Kalikst. I aczkolwiek następnie w wyniku ośmiu dniowych narad profesorskiej komisji mieszanej wydano drukiem odpowiedni elaborat o charakterze synkretycznym, na tym wydawnictwie usiłowania te też zakończyły się.

Kastner Jan Chrzciel — (ur. 1775, zm. 1841) — to rzymskokatolicki ks., proboszcz i pisarz teologiczny, występujący w swoich pracach głównie w obronie jedynie prawdziwego Kościoła rzymskokatolickiego (przeciw protestantom), prymatu papieża i przeciw małżeństwom mieszanym. Jest autorem m.in. następujących książek: *Würde und Hoffnung der katholischen Kirche mit Rücksicht auf die protestantische Kirche* (1822), czyli *Godność i nadzieja Kościoła Katolickiego ze względu na Kościół protestancki*; *Katholizismus und Nichtkatholizismus...* (1827), czyli *Katolicyzm i niekatolicyzm*; *Jesus Christus als Messias und Weltheiland* (1830), czyli *Jeżus Chrystus jako Mesjasz i Zbawiciel świata*; *Der grosse Streit über die gemischten Ehen* (1838), czyli *Wielki spór o małżeństwa mieszane*.

Kasprowicz Jan — (ur. 1860, zm. 1926) — znakomity polski poeta, dramaturg, tłumacz, w swojej bogatej i cennej twórczości literackiej poświęcił też niemało uwagi sprawom i zagadnieniom teologicznym, religijnym, czy z pogranicza teologii-filozofii. Wymienić tu należy poemat pt. *Chrystus* (1890) i dalej zbiór: *Anima lachrymans i inne nowe poezje* (1894); *Miłość* (1895; a następnie *Księga miłości*); później zbiory: *Gincemu światu* (1901); *Salve Regina* (1902); *Księga ubogich* (1916).

Katakumby — (gr. kata kymbas = przy wgłębieniu; przy wąwozie; w zgłębieniu; łac. catacumbae = podziemne groby

JAN CHRZCICIEL

„Gdy Żydzi wysłali do niego (Jana Chrzciciela) z Jerozolimy kapłanów i lewitów z zapytaniem: Kto ty jesteś?, on wyznał, a nie zaprzeczał, oświadczając: Ja nie jestem Mesjaszem. Zapytali go: Cóż zatem? Czy jesteś Eliaszem? Odrzekł: Nie jestem. Czy ty jesteś prorokiem? Odparł: Nie! Powiedział mu więc: Kim jesteś, abyśmy mogli dać odpowiedź tym, którzy nas wysłali? Co mówisz sam o sobie? Odpowiedział: Jam głos wołającego na pustyni: Prostujcie drogę Pańską, jak powiedział prorok Izajasz. A wysłannicy byli spośród faryzeuszów. I zadawali mu pytania, mówiąc do niego: Czemu zatem chrzczisz, skoro nie jesteś ani Mesjaszem, ani Eliaszem, ani prorokiem? Jan im tak odpowiedział: Ja chrzczę wodą. Pośród was stoi Ten, którego wy nie znacie, który po mnie idzie, a któremu ja nie jestem godzien odwiązać rzemyka u Jego sandała. Działo się to w Betanii, po drugiej stronie Jordanu, gdzie Jan udzielał chrztu.

Nazajutrz zobaczył Jezusa, nadchodzącego ku niemu, i rzekł: Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata... Ujrzałem Ducha, który jak gołębica zstępował z nieba i spoczął na Nim. Ja go przedtem nie znałem, ale Ten, który mnie posłał, abym chrzczył wodą, powiedział do mnie: Ten, nad którym ujrzyś Ducha zstępującego i spoczywającego nad Nim, jest Tym, który chrzci Duchem Świętym. Ja to ujrzałem i daję świadectwo, że On jest Synem Bożym” (J 1,18—34).

Za czasów króla Heroda Wielkiego (37—4 r.p.n.e.) żyli w Palestynie Zachariasz — kapłan izraelski i jego małżonka — Elżbieta, krewna Najświętszej Maryi Panny. Oboje pragnęli mieć dzieci, ale niestety Elżbieta była nieplodna. Mimo podeszłego już wieku prosili jeshcze Boga o danie im dziecka. Pewnego dnia, gdy Zachariasz pełnił swój urząd kapłański w świątyni, ukazał mu się archanioł Gabriel, który „rzekł do niego: Nie bój się, Zachariaszu; twoja prośba została wysłuchana: żona twoja Elżbieta urodzi ci syna, któremu nadasz imię Jan... Na to rzekł Zachariasz do anioła: Po czym to poznam? Bo ja jestem już stary i moja żona jest w podeszłym wieku. Odpowiedział mu anioł: Ja jestem Gabriel, który stoję przed Bogiem. A zostałem posłany, aby mówić z tobą i oznajmić ci tę wieść radośną.

A oto będziesz niemy i nie będziesz mógł mówić aż do dnia, w którym się to stanie, bo nie uwierzyłeś moim słowom, które się spełniają w swoim czasie” (Łk 1,13; 18—20).

Zachariasz był niemy aż do chwili, kiedy narodzonemu dziecku należało nadać imię. Wówczas podano Zachariaszowi tabliczkę, na której napisał: „Jan jest imię jego” (Łk 1,63).

Jan Chrzciciel od wczesnego dzieciństwa przebywał na pustyni, powodem tego była miłość do ludzi i życia. Świetnie znał człowieka, potrafił przemawiać do ludzi językiem zrozumiałym, a jednocześnie sięgającym głęboko, aż do „dna” ludzkiej duszy. Na pustyni znalazł miejsce, gdzie w „ciszy” mógł spokojnie zastanowić się nad ludzkim życiem. Wyostrzone rozległością i czystością pustynnego krajobrazu oczy sięgają głębiej, wyraźniej widzą zjawiska dla innych niedostrzegalne.

Jan przyciągał tłumy swoją mądrością i surową prawdziwością. Przychodzili do niego wszyscy: „wychodziła do niego Jerozolima i cała Judea i wszelka kraina wokół Jordanu...”. Przyciągającą siłą stanowi prawdziwa znajomość życia i umiłowanie człowieka, któremu trudno nie ulec: „I byli przez niego chrzczeni w Jordanie, wyznając grzechy swoje”.

Gdy Pan Jezus rozpoczął publiczną działalność, Jan Chrzciciel spełniał rolę poprzednika Chrystusa, nawołując do pokuty. Był poprzednikiem Tego, który miał pokutować na krzyżu i w męce objawiać miłość swoją, której żadna inna dorównać nie może.

Szczytowym punktem życia Jana Chrzciciela jest wydarzenie nad Jordanem, gdzie adwentowy prorok wskazał ludziom Zbawcę świata: „Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata”.

Jan Chrzciciel narodził się po to, aby te słowa powiedzieć. Wszystko, co do tej pory przeżył i powiedział, stało się dla tych kilku słów. Nad Jordanem po raz pierwszy Jezus Chrystus został nazwany Zbawicielem. Nie było i nie będzie innego Zbawcy. Każde inne oczekiwanie i każda inna nadzieja mija się z prawdą, gdyż Bóg Ojciec powiedział: „Ten jest Syn mój miły... Jego słuchajcie”. Zbieżność dwu świadectw, z których jedno jest z ziemi, z duszy i z serca Janowego, a drugie z nieba, wiąże mocnym węzłem wszelkie oczekiwania ludzi z rzeczywistością Boga Wcielonego, który jeden zdolny jest spełnić ludzkie oczekiwania.

Idea prorokowania, gotowania Chrystusowi drogi, wypełniła bez reszty życie Jana Chrzciciela. Z chwilą, gdy to proroctwo się spełniło, Jan nie był w stanie podporządkować swego życia żadnej innej idei, osiagnawszy w spotkaniu nad Jordanem punkt szczytowy, zaczyna jak gdyby wycofywać się z aktywnego życia. Słowa, jakie padły z nieba: „Jego słuchajcie”, przeniosły punkt ciężkości z osoby Jana na osobę Chrystusa. Jan szybko zrozumiał nową sytuację: „Wesele moje wypełnione jest... On ma rósć, a ja się mam umniejszać”.

Jan schodzi na margines, by osobą swą, autorytetem i sławą nie przesłonić w niczym Tego, któremu drogę przygotował. W tym usunięciu się zarysowuje się wielkość duchowa Jana. Prostota, prawość i uczciwość, z jaką ocenia sytuację, odwaga, z jaką stwierdza, iż



pierwsze miejsce należy się Temu, który w rękach swoich trzyma zbawienie, wymowniejsze dają świadectwo o wielkości tej duszy niż poprzednie jego słowa i czyny. Ujawniają bowiem taki stopień wierności i umiłowania prawdy, na jakie bardzo trudno zdobyć się człowiekowi.

Wokół dawnego nauczyciela zostało kilku najwierniejszych uczniów; wszyscy inni poszli za nowym Mistrzem. Ci, którzy pozostali, nie znając tajemników Janowych myśli, ubolewali nad zmiennością losu, nad domniemaną krzywdą i opuszczeniem nauczyciela. Jan korzysta z pierwszej nadarżającej się sposobności, by tych ostatnich, najwierniejszych zwolenników swoich odesłać Chrystusowi, i pozostaje samotny.

Janowi pozostało jeszcze do wypełnienia w samotności inne zadanie. Czeką go cierpienie i męczeństwo bez świadków.

„Albowiem Herod pojmał Jana, zakuł w kajdany i wtrącił do więzienia dla Herodiady, żony Filipa, brata swego. Bo Jan mówił mu: Nie wolno ci jej mieć. I chciał go zabić, ale bał się ludu, gdyż mieli go za proroka. A gdy obchodzono urodziny Heroda, córka Herodiady tańczyła przed gośćmi i spodobała się Herodowi. Dlatego pod przysięgą obiecał jej dać to, czegokolwiek by zażądała. A ona za namową matki swej rzekła: Daj mi tu na misie głowę Jana Chrzciciela. I zasmucił się król, ale ze względu na przysięgę i współbiedników kazał jej dać. Posłał więc i kazał ściąć Jana w więzieniu” (Mt 14,3—10).

Żadne wielkie dzieło nie dojrzewa na tym świecie bez bólu i cierpienia. Jan miał do spełnienia jedyną i wyjątkową misję i jego dzieło dojrzewa również w bólu. Podczas gdy Jezus Chrystus objawia swą moc, działa cuda, rozkazuje żywiołom, zwycięża choroby i śmierć nawet, najwierniejszy z jego przyjaciół, opuszczony, samotny, kończy swe życie śmiercią gwałtowną. Wydawać by się mogło, że było to ze strony Chrystusa zapomnienie, przeoczenie, może nawet brak wdzięczności. Czy do słów pochwalnych wypowiedzianych o Janie Chrzcicielu nie mógł Chrystus dodać jednego wszechmocnego słowa, którym uwolniłby go z więzienia? Oczywiście mógł. Chciał jednak, by Jan w swoim najpokorniejszym umniejszeniu był również Jego poprzednikiem w drodze ku śmierci gwałtownej i niesprawiedliwej na Golgocie.

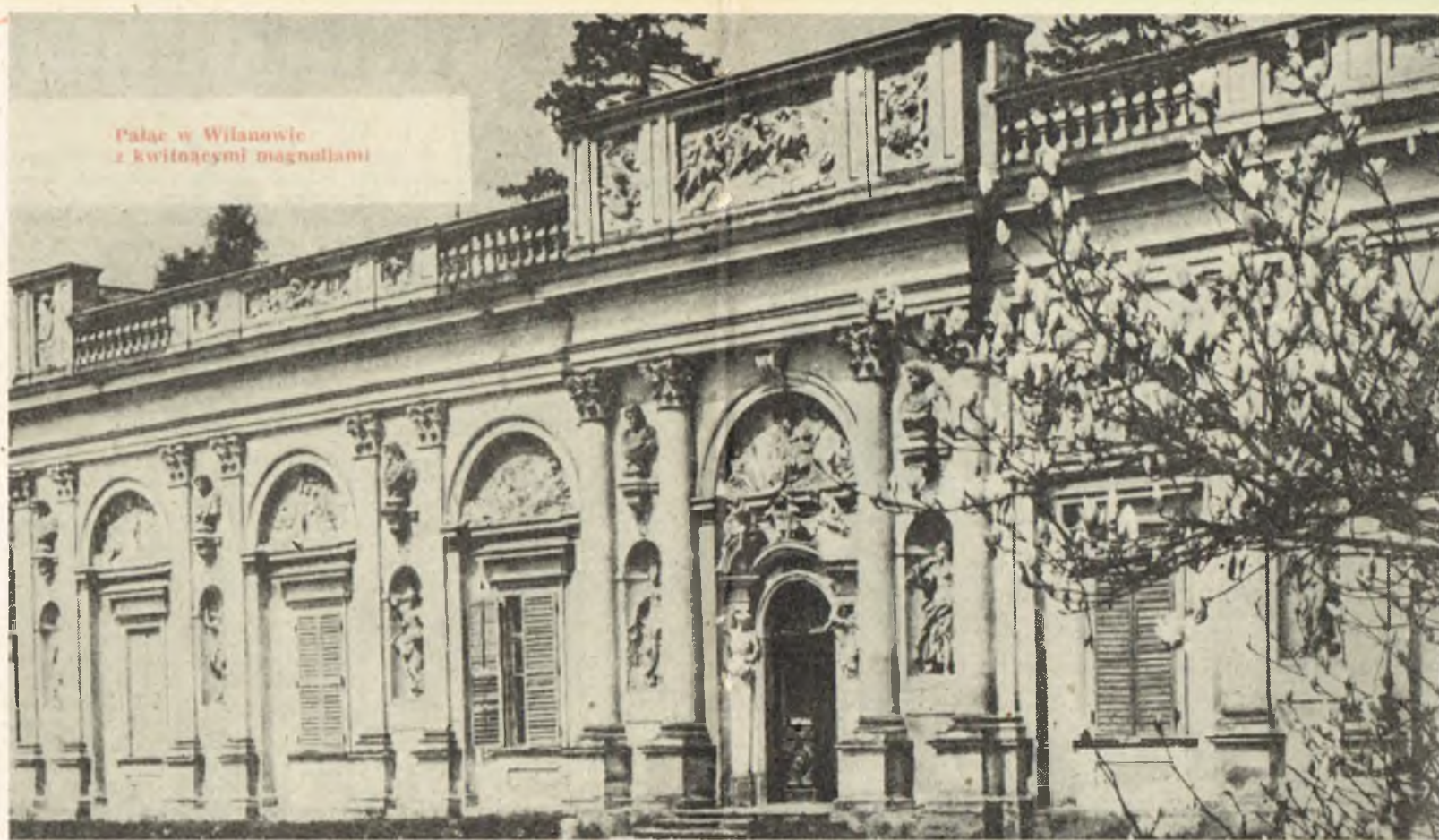
Niewiele minie czasu, gdy wokół Chrystusa osłabnie entuzjazm — serca i umysły za ciasne i zbyt ograniczone, by pojąć Jego słowa i poddać się Jego prawu, odwrócą się od Niego, coraz mniej będzie zwolenników, wzrośnie liczba przeciwników, aż wreszcie Chrystus stanie ze związanymi rękami przed tym samym Herodem, który zamordował Jana Chrzciciela, stanie samotny i przez wszystkich opuszczony. I tak, raz jeszcze przecięły się drogi tych dwóch ludzi: tu się wykonało do końca powołanie poprzednika. Jego śmierć wyprzedziła w czasie śmierć Tego, któremu gotował drogę, i któremu „nie był godzien rozwiązać rzemyka u sandałów Jego”.

N

ic tak nie rozrzewnia, jak widok znajomych „kątów” domu rodzinnego, który pamięta się jeszcze z czasów dzieciństwa, bądź o którym słuchało się długich a tęsknych opowieści rodziców, dziadków ...

— Bo wiesz, dziecko — zwykł mówić ojciec — u nas, nad Wisłą, żyło się jakoś inaczej, nie tak pośpiesznie jak tu, w Ameryce, spokojnie, a wszyscy byli tacy serdeczni. Z krakowskich pól rozciągał się

przed tobą piękny widok... chciałbym, żebyś mógł, mój chłopcze, kiedyś w życiu zobaczyć Polskę.



Tam, gdzie Wisła modra płynie...

Z roku na rok coraz bardziej zacieśniają się związki Polonii zagranicznej z Polską. Coraz więcej gości odwiedza nasz kraj, a wśród nich przeważają dzieci i wnukowie dawnych polskich emigrantów. Pragną oni na własne oczy zobaczyć Kraj swoich przodków, skonfrontować własne wyobrażenia z rzeczywistością. Poznają Kraj swoich dziadków, pogłębiają znajomość języka polskiego, a niekiedy uczą się go od podstaw. Silnie zakorzeniony patriotyzm w sercach drugiego, trzeciego czy czwartego pokolenia Polaków żyjących z dala od kraju rozkwita bujnie na polskiej ziemi. Współczesna Polska, rozwinęta przemysłowo i zasobna w wartości kulturalne, wykazująca szczególną troskę o najwyższe dobro, jakim jest człowiek, ma coraz więcej do zaoferowania ludziom legitymującym się polskim pochodzeniem. W środowiskach polonijnych coraz powszechniej ugruntowuje się przekonanie że duma z polskiego pochodzenia jest nieodzowną przesłanką na drodze rozwoju i awansu społecznego w nowej ojczyźnie.

Trzeba również podkreślić, że znaczny wpływ na umacnianie się więzi z Polonią ma także ogólny rozwój sytuacji w świecie, odprężenie w stosunkach międzynarodowych, rozwój współpracy bilateralnej Polski z krajami kapitalistycznymi. Polonia spełnia funkcję pośrednika, doradcy i staje się czynnikiem inspiracji w rozwój współpracy wielu krajów zachodnich z Polską.

W ubiegłym roku Polskę odwiedziła blisko dwumilionowa rzesza polonijnych gości z różnych kontynentów — to stanowi najlepszy wyznacznik stale rozwijających się związków i kontaktów Rodaków z Krajem swych przodków. Lotnisko „Okęcie” w Warszawie, dworzec kolejowy w Poznaniu, dworzec morski w Gdyni czy przejście graniczne w Słubicach nad Odrą były i są świadkami wrzeszczących scen powitań. Przyjeżdżają głównie rodacy ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Niemieckiej Republiki Federalnej, Francji, Austrii, Belgii, a także z krajów skandynawskich. Polskę odwiedzają przedstawiciele różnych zawodów i grup społecznych, a także duchowieństwo. Większość polonijnych gości to ludzie starsi, należy jednak podkreślić, że z każdym rokiem stopniowo rośnie wśród nich liczba młodzieży.

Jadą do nas ciekawi jak tu jest, czy tak jak przed laty? Każdy z nich nosi w sercu swój własny obraz Polski, własne wyobrażenie bądź oni sami. Ciekawi są wszystkiego. Odwiedzają miejsca swojego, lub rodziców urodzenia, spotykają się z rodziną i znajomymi. Interesują ich zabytki, przemysł, życie na wsi, budownictwo mieszkaniowe,

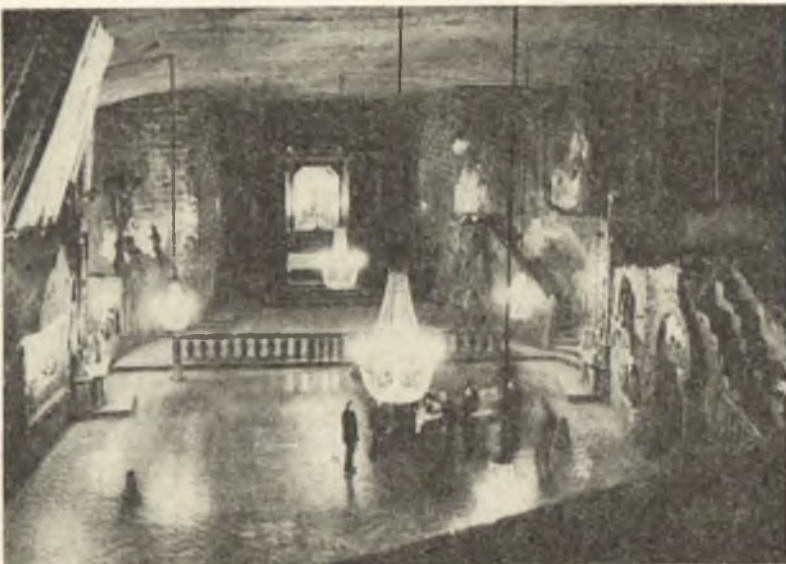
Umiłowanie ziemi ojczystej i przywiązanie do niej to istotny element patriotyzmu. Związek Amerykanów polskiego pochodzenia z Polską przejawia się m.in. w kulturowaniu tradycji przodków, którzy ongiś wyemigrowali z różnych regionów Starego Kraju. Należy tu szczególnie zwrócić uwagę na wielką rolę rodziny, która właśnie jest pierwszym nauczycielem patriotyzmu. Rodzina bowiem pielęgnuje język narodowy i międzypokoleniową więź wspólnoty narodowej, kult bohaterów i kult pracy. Ponadto rodzina jest łącznikiem przynależności jednostki z narodem i podstawowymi wartościami człowieczeństwa. Spotykając się z Polakami z zagranicy często na przykład zauważa się dziwny sposób mówienia w języku polskim. Jest to język pełen archaizmów i gwarowości, a przecież dla nas tak bardzo wzruszający. Jest on bowiem taki, jaki był przekazywany z ojca na syna, bez szkoły, bez podręczników, po prostu — w domu. Młodzież polonijna rozpoczyna właśnie swą edukację językową w domu rodzinnym. Ponieważ jednak procesy asymilacyjne czy integracyjne z miejscowym społeczeństwem są silne i konieczne, a wymogi dnia codziennego zmuszają do posługiwania się przede wszystkim językiem kraju osiedlenia, zakres umiejętności języka polskiego wyniesiony z domu rodzinnego jest mocno ograniczony. W wielu krajach kursy języka polskiego dla dzieci i dorosłych organizowane są przez instytucje polonijne oraz przez Instytuty Kultury Polskiej. Często interesują się nimi także obcokrajowcy. Bardzo wydatną pomoc dla Polonii stanowią kursy języka polskiego nadawane na antenie programu Polskiego Radia dla zagranicy w audycjach dla Polonii. Młodzież polonijna może też kształcić się w Polsce — w Szkołach Letnich Kultury i Języka Polskiego (organizowanych w miesiącach letnich specjalnie dla młodzieży polonijnej).

Dzisiejsza Polska ma więc wiele możliwości zaspokojenia emocjonalnych, kulturalnych i intelektualnych potrzeb Rodaków i osób polskiego pochodzenia, jest więc słusznym przedmiotem dumy wszystkich Polaków, gdziekolwiek by się znajdowali. Polski zamożnej nielet się nie wstydził, nie zmienia swego polskiego nazwiska, z dzisiejszą Polską szuka się kontaktów kulturalnych, naukowych, handlowych. Prestiż i autorytet Polski — to sprawa decydująca w zespole czynników kształtujących dziś więź Polonii z krajem.

W ostatnich dniach czerwca br. powitamy na naszej ziemi kolejną grupę Rodaków zza oceanu. Przybędą oni z wycieczką zorganizowaną przez Polsko-Narodową „Spójnię” w USA. Program wycieczki obejmuje wiele atrakcyjnych i godnych uwagi pozycji. Goście zwiedzać będą m.in. Warszawę, Kraków, Wieliczkę, Zakopane i wiele innych interesujących miejscowości. Mamy nadzieję, że z tego bezpośredniego kontaktu z Krajem swoich Ojców nasi Goście wyniosą jak najlepsze wrażenia, i że pobyt w Polsce zaliczą do jednych z najbardziej udanych i romantycznych podróży.



Zabytek klasy „0” — krakowskie Sukiennice



Wieliczka — kopalnia soli



Warszawska Starówka...



... którą uwieczniają na swych płótnach malarze



MODLITW...

CZECHOSŁOWACJA, WĘGRY I POLSKA

Spotkanie z poselstwem Ewangelii w IX i X wieku zbiegło się na tych terenach z rozbudzeniem świadomości narodowej.

Wszystkie te kraje znajdowały się przez długi czas pod obcym panowaniem i wskutek tego musiały walczyć o narodową egzystencję oraz utrzymanie własnej kultury. W walce tej ważną rolę odgrywał Kościół. W okresie Reformacji (której prekursorem w Czechach był Jan Hus, † 1415) i Kontrreformacji toczyła się zacięta walka o religijną orientację tych narodów.

Czechosłowacka Republika Socjalistyczna wojny światowej swą niezawisłość i przeżyły twardy okres okupacji. Zwycięstwo Armii Czerwonej stworzyło warunki dla socjalistycznych przemian. Kościoły, mimo różnej pod pewnym względem sytuacji, stanęły wobec podobnych problemów podczas konfrontacji z socjalistycznym ustrojem społecznym, opartym na światopoglądzie ateistycznym. Dla życia Kościoła istotne znaczenie ma świadectwo wiary i służba jego członków.

Czechosłowacka Republika Socjalistyczna (CSRS) jest republiką federacyjną, złożoną z dwóch równouprawnionych narodów (Czesi i Słowacy). Kościoły protestanckie, prawosławny i starżokaliccki utworzyły w 1970 r. na terenie Czech Radę Ekumeniczną Kościołów. Chrześcijanie czechosłowaccy (Hromadka) dali wartościowe impulsy światowemu ruchowi ekumenicznemu.

Węgierska Republika Ludowa ma przeszło 10 milionów mieszkańców i jest krajem przemysłowym i rolniczym. W XVI w. większość mieszkańców stała się protestantami. Kontrreformacja w obu następnych stuleciach odwróciła tę sytuację. Dzisiaj pozostałe grupy religijne tworzą: rzymskokatolicy, protestanci, (reformowani, luteranie prawosławni, mniejsze wspólnoty zrzeszone w Radzie Kościołów Wolnych oraz Żydzi. Protestanci i prawosławni utworzyli w 1948 r. Radę Ekumeniczną Kościołów na Węgrzech.

Polska Rzeczpospolita Ludowa ma przeszło 35 milionów mieszkańców. Podczas II wojny światowej ofiary działań wojennych i narodowosocjalistycznej nienawiści rasowej padło około 6 milionów obywateli polskich, z czego połowę stanowili Żydzi. Dzisiaj znaczny procent ludności nie przekroczył 20 roku życia. W życiu religijnym dominuje Kościół Rzymskokatolicki. Znaczenie tego Kościoła na świecie wzrosło szczególnie przez wybór arcybiskupa krakowskiego kard. Karola Wojtyły na papieża. Drugim największym Kościołem jest Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny, który wspólnie ze starokatolikami (Kościół Polskokatolicki i Starokatolicki Kościół Mariawitów) i protestantami (Kościół Ewangelicko-Augsburski, Kościół Ewangelicko-Reformowany, Kościół Metodystyczny, Polski Kościół Chrześcijan Baptystów i Zjednoczony Kościół Ewangeliczny) tworzy Polską Radę Ekumeniczną. Ludność żydowska, której przed II wojną światową było przeszło 3 miliony, zmalała do kilku tysięcy osób.

Kościoły w tych krajach przywiązują dużą wagę do swego biblijnego i historycznego dziedzictwa. Do ich głównych trosk należy religijne wychowanie dzieci i młodzieży. Kościoły zajmują otwartą postawę wobec konkretnych problemów życia codziennego. Zwiastują one Ewangelię jako słowo pojednania oraz angażują się na rzecz pokoju i sprawiedliwości. Dzięki wspólnocie ekumenicznej mogły one podjąć wiele cennych inicjatyw.

LISTA KOŚCIOŁÓW

Czechosłowacki Kościół Husycki
Ewangelicki Kościół Braci Czeskich
Kościół Ewangelicko-Augsburski w Polsce
Kościół Ewangelicko-Reformowany w Polsce
Kościół Luteranski na Węgrzech
Kościół Metodystyczny w Czechosłowacji
Kościół Metodystyczny w Polsce
Kościół Metodystyczny na Węgrzech
Kościół Polskokatolicki
Kościół Prawosławny w Czechosłowacji
Kościół Prawosławny na Węgrzech
Kościół Reformowany na Słowacji
Kościół Reformowany na Węgrzech
Kościół Rzymskokatolicki w Czechosłowacji, Polsce i na Węgrzech
Kościół Starokatolicki w Czechosłowacji
Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny
Polski Kościół Chrześcijan Baptystów
Słowacki Kościół Ewangelicki Wyznania Augsburskiego
Starokatolicki Kościół Mariawitów w Polsce
Śląski Kościół Ewangelicki Wyznania Augsburskiego w Czechosłowacji
Zjednoczony Kościół Ewangeliczny w Polsce
Związek Zborów Baptystycznych w Czechosłowacji
Związek Zborów Baptystycznych na Węgrzech
Zjednoczony Kościół Baptystyczny w Polsce

Do naszej modlitwy dołączamy też rady ekumeniczne i wspólnoty robocze na płaszczyźnie lokalnej i krajowej.

Wspominamy również wszystkie ruchy i społeczności chrześcijańskie, które zwiastują Jezusa Chrystusa i służą Mu.

PODZIĘKOWANIE I PROŚBA

Dziękujemy Bogu
za wytrwałe trzymanie się wiary chrześci-



jańskiej w okresie wielowiekowego cierpienia, prześladowania i ucisku narodów; za żywotność wiary w Chrystusa w tych krajach.

Prosimy Boga

za Kościoły w Czechosłowacji, Polsce i na Węgrzech, za ich duchownych i biskupów, wychowawców i nauczycieli oraz za ich parafie i wspólnoty religijne,

aby zostały wzmocnione w wierze, odważnie wyznawały Jezusa Chrystusa, a przyszłej generacji dawały przykład chrześcijańskiego zdecydowania i gotowości do ponoszenia ofiar; aby Kościoły zacieśniały swoją wspólnotę ekumeniczną, dzieliły się wzajemnie bogactwem swego chrześcijańskiego dziedzictwa oraz wzmacniały się, po bratersku, nawzajem we wierze.

MODLITWA JANA HUSA

Miłosierny Panie, Jezu Chryste, wesprzyj nas w naszej wielkiej słabości; gdyż gdzie Ty nie prowadzisz, tam nie możemy podążać; daj nam silnego i ochoczego ducha, aby nasze ciało, mimo całej jego słabości, podążało tam, gdzie je poprowadzisz. Bez Ciebie bowiem nie jesteśmy w stanie cokolwiek przedsięwziąć, a najmniej oddać życie swe za Ciebie. Obdarz nas ochoczym duchem, nieustraszonym sercem, byśmy mogli wierzyć w to, co słuszne. Daj nam niezłomną nadzieję, byśmy ze względu na Ciebie mogli wiele znieść i poświęcić spokojnie swoje życie.

MEDYTACJA O. MAKSYMILIANA KOLBE (SPOJRZENIE NA UKRZYŻOWANEGO)

Codziennie i częściej musisz w trudnych sytuacjach spoglądać na Ukrzyżowanego i uczyć się Go naśladować. On musiał ze wszystkich stron znieść najgorsze cierpienia i szyderstwa, jeszcze naigrywano się z Niego, gdy przechodził wielkie bóleści. Bądź Bogu posłuszny we wszystkim, zawsze zupełnie, natychmiast i ślepo. Kochaj nieprzyjaciół, i to tym więcej, im większe nieprzyjemności od nich doznajesz. Wszak Jezus powiedział: „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią”. Im bardziej będziesz cierpieł w swoim życiu, tym większa będzie twoja chwala w niebie.





Napoleon Bonaparte jako pierwszy konsul Republiki Francuskiej

Z lekcji historii

BITWA POD WATERLOO

Waterloo — to miejscowość w Belgii, położona 20 km na południe od Brukseli. W jej to właśnie okolicach 165 lat temu (18.VI.1815 r.) rozegrała się słynna, a zarazem ostatnia, bitwa Napoleona.

Po wygraniu „bitwy narodów” (Lipsk 1813 r.), armie sprzymierzonych na początku 1814 r. wkroczyły do Paryża. W dniu 11 kwietnia Napoleon abdykował i następnie został zesłany na wyspę Elbę, znajdującą się na Morzu Śródziemnym (między Korsyką a Półwyspem Apenińskim). Wydawało się, że w Europie nastąpił ostateczny kres epoki napoleońskiej. Główni zwycięzcy — król pruski, car rosyjski i premier Anglii — postanowili zwołać kongres w Wiedniu, którego zadaniem miało być

stworzenie nowej Europy, opartej na zasadach „równowagi politycznej”.

Wieści o tym, co działo się na kontynencie europejskim, dochodziły do zesłanego na Elbę Napoleona. Wiedział on o niezadowoleniu we Francji z rządów Bourbonów, o ujawniającym się w Wiedniu braku zgody wśród członków koalicji antynapoleońskiej. Pomimo swego uwięzienia nie stracił nadziei na utrzymanie — jeżeli nie dla siebie, to dla syna — tronu we Francji. Nie wszystko było jeszcze stracone...

W dniu 1 marca 1815 r. Napoleon wraz z oddziałem swojej gwardii wyładował na wybrzeżu francuskim i zaczął swój słynny „lot orła” ku Paryżowi. Wojsko wszędzie bez walki przechodziło na jego stronę i niebawem Napoleon zajął Paryż. Sześć dni później, 7 marca, Kongres Wiedeński ogłosił Bonapartego za wyjątego spod prawa i przerwał obrady. Nowi władcy Europy stanęli znów na czele swych, jeszcze całkowicie nie zdemobilizowanych armii.

W Belgii, pod Brukselą, Wellington* szybko zgromadził ok. 100 tys. ludzi a obok niego stanął pruski marszałek Blücher z ok. 150 tys. żołnierzy. Armia austriacko-pruska liczyła ok. 350 tys., natomiast armia rosyjska — ok. 220 tys. żołnierzy. W sumie armia sprzymierzonych liczyła 3/4 miliona ludzi.

Napoleon mógł wystawić tylko ok. 300-tysięczną armię, ale połowę (150 tys. żołnierzy) — musiał pozostawić we Francji w celu obrony jej granic. Miał zamiar zniszczyć armię Blüchera i Wellingtona w Belgii, zanim nadejdą Austriacy i Rosjanie. Kampania ta była dobrze pomyślana, ale jej wykonanie — fatalne.

Napoleon umieścił się akurat między armiami przeciwnika. Jeden z jego ge-

nerałów — Ney, zmusił Wellingtona do cofnięcia się pod Quatre-Bras² a sam Napoleon zaatakował Blüchera pod Ligny. Nie wsparty — z winy Neya — nie rozbił Prusaków, zmusił ich jedynie do odwrotu i posłał za nimi 33 000 ludzi marszałka Grouchy. Sam, wraz z Neyem, zaatakował ponownie Wellingtona pod Waterloo (a dokładnie koło wzgórza Saint Jean w pobliżu Brukseli) dnia 18 czerwca 1815 r. Siły przeciwników były niemal równe.

Atak zaczęto późno (o godzinie 11 przed południem). Całą akcję prowadzono dość nieudolnie. Wellington wytrzymał zaciekle ataki frontalne przeciwnika przez całe popołudnie. Wieczorem na prawym skrzydle francuskim ukazała się armia Blüchera, który zmylił nieudolnego Grouche'go i szybko pośpieszył na pomoc Wellingtonowi. Bitwa zamieniła się w paniczny odwrót Francuzów, tylko stara gwardia napoleońska cofała się powoli i w porządku. Bitwa pod Waterloo zakończyła się całkowitą klęską Napoleona. Francuzi stracili ok. 25 000 ludzi i całą artylerię; Wellington 15 tys., a Blücher — 7 tys. ludzi.

Napoleon — już po raz drugi — musiał podpisać akt abdykacji, który symbolizował koniec drugiego okresu Cesarstwa. Miał zamiar udać się do Ameryki, ale Anglicy wywieźli go — jako więźnia — na Wyspę św. Heleny na Oceanie Atlantyckim. Tutaj poświęcił się Napoleon pisaniu listów i wspomnień o epoce, która już przeminęła. W ten też sposób niewątpliwie sam przyczynił się do powstania legendy o samym sobie... Umarł na raka żołądka dnia 5 maja 1821 r.

M.D.

* Arthur A. Wellesley (1769—1852); wódz i polityk angielski. W wojsku od 1784 roku. Członek Izby Gmin (konservatysta). Sekretarz stanu Irlandii. Za zasługi poniesione w kampanii hiszpańskiej otrzymał tytuł wicehrabiego WELLINGTON. Po pokonaniu Napoleona pod Waterloo otrzymał tytuł księcia.

POZIOMO: 1) płaskie naczynie kuchenne, 5) glob ziemski, 10) zbrojna napaść jednego państwa na drugie, 11) element sieci wodociągowej w formie krążka otaczający kran, 12) antypoda prologu, 13) duży zbiornik do transportu cieczy lub gazów, 15) członek załogi samolotu, 16) osłania głowę żużlowca, 19) lewy dopływ Wisłoki, 21) oznaczanie przy pomocy liczb, 25) diafragma, 26) w ówkle, 28) owoc o dużej zawartości witaminy „C”, 29) kłęby pyłu unoszące się w powietrzu, 30) magazyn, 31) epilepsja.

PIONOWO: 1) listek korony kwiatowej, 2) krzew ciernisty o białych kwiatach, 3) liście drzew i krzewów, 4) pierwszy lotniarz, 6) odwiedziny, 7) artystka filmowa lub teatralna, 8) charakterystyczne miano nadane komuś, przezwisko, 9) roślina chroniona o jasnofioletowych owłosionych kwiatach, 14) rodzaj zupy, 17) wieżowiec, 18) gatunek tytoniu, 20) przymówka, aluzja, 22) kuzyn okonia, 23) dział fizyki, 24) turecka metropolia, 27) załazek ryby.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 11”. Do rozlosowania:

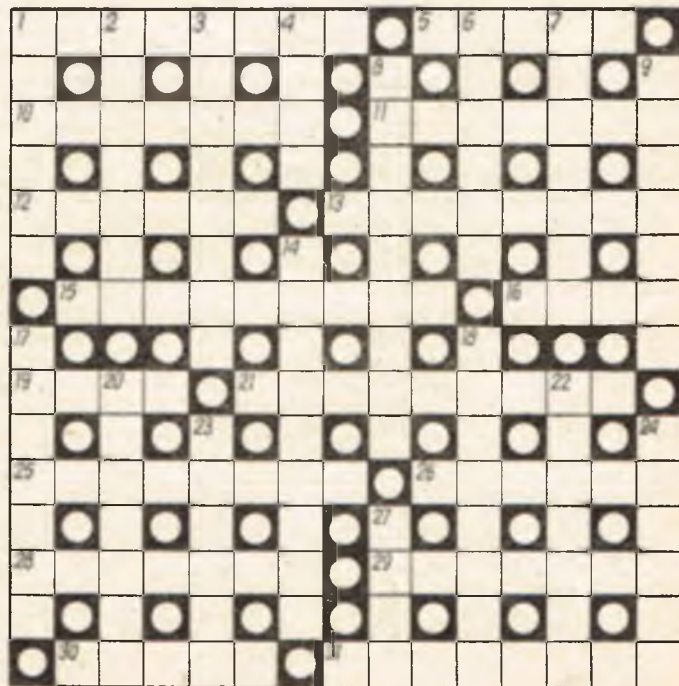
nagrody książkowe

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 7

POZIOMO: przygoda, opust, osprzęt, retorta, oblawa, pergamin, kawiana, ikra, zima, stokrotka, zielonka, żelazo, przeszło, wiatrak, polka, szczotka. **PIONOWO:** prolog, zapalka, gazownia, data, potęga, strumyk, przebitka, waśniak, protektor, szczapa, kolejarz, Mieszko, kwadrat, borsuk, Moskwa, kwiz.

Nagrody wylosowali: Halina Zurawska z Jarocina i Tadeusz Górski z Poznania.

Nagrody prześlemy pocztą.



KWIAT PAPROCI



Wszystkim wiadomo, że raz w roku — w noc św. Jana, która jest najkrótsza — zakwita kwiat paproci. Kto znajdzie ten kwiat i schowa, znajdzie na ziemi wielkie szczęście! Cała bieda jednak polega na tym, że noc taka jest tylko jedna w roku, a w każdym lesie zakwita tylko jedna paproć, i to w takim miejscu, że

bardzo trudno ją odnaleźć... Starzy ludzie powiadają, że droga do tego kwiatu jest bardzo trudna i niebezpieczna, że dostępu do niej bronią różne strachy i dziwy, i mądźwyczaj wprost trzeba odwagi, aby zdobyć ten kwiat! A kwiat ten kwitnie krótko, póki kury nie zapieją.

Kiedyś, bardzo dawno temu, żył sobie chłopiec imieniem Jacuś. Przeżywali go we wsi ciekawym, bo zawsze szperał, szukał, słucał, a co było najtrudniej dostać — on się najgoręcej do tego garnał — taką już miał naturę. Kiedyś stara baba, gdy siedzieli wszyscy przy ognisku, opowiadac zaczęła o kwiecie paproci. Bajala i bajiła, a ciekawy Jacuś tak się zasluchał, że aż mu kijek wypadł z ręki. Gdy zaś już skończyła, pomyślał sobie, że musi ten kwiat odnaleźć, żeby nie wiadomo co! I powtarzał sobie to przyrzeczenie często.

Gdy nadeszła czarodziejska noc świętojańska, Jacuś powiedział do siebie:

— Gdy drudzy będą przez ogień skakali, pójdę w las, znajdę ten kwiat paproci. Nie uda mi się jednego roku, pójdę na drugi, na trzeci, i będę chodził dopóty, aż go wyszukam i urwę!

I tak zrobił. Umył się, wdział białą koszulę, czapkę z pawim piórkiem, nowe łapcie lipowe, i gdy tylko zmrok zapadł — wyruszył do lasu.

Wydawało się dotąd Jacusiowi, że las ten zna dobrze, a tu nagle — oszliwa rzecz — ani drzewa nie rozpoznaje, ani ścieżki znajomej znaleźć nie może — wszystko jakieś inne. Ciemno, choć oko wykol, a wśród ciemnych gąszczy jakieś dziwne światła migają, nagle gasną... Ale Jacuś nie bał się ich, dzielnie szedł dalej. Ciężko było iść. To mu się kłoda jakaś pod nogi zwała, to gęste krzaki drogę zastąpiły. Gąszcz taki, że ani palca przecisnąć, ale Jacuś rzucił się, pchnął, zamachnął — i przedartł się szczęśliwie... Zrozumiał wtedy, że to wszystko było zwodnictwem nieczystej siły.

Doszedł i do moczaru. Wszędzie błoto, obejść go nie sposób. Spróbował nogą — grzęźnie. Gdźieniedzie kępy wyrastają, więc on z kępy na kępę — idzie dalej. W końcu nawet nie wiedział, gdzie jest i jak do domu na wieś wrócić. Wtem patrzy, przed nim ogromny kwiat paproci, a na jednym liściu, u spodu, świeci się jak brylant kwiatusek złoty, w środku mający oczko śmiejące... Serce mu uderzyło, rękę wyciągnął już miał kwiat pochwyć, gdy wtem... kur zapiął, kwiatek otworzył wielkie oko, błysnął nim i — zgasł. Śmiechy tylko dały się słyszeć wokoło, Jacusiowi zaszmiało co w głowie, nogi mu podcięło i upadł na ziemię... Nie wiedział, jak i kiedy znalazł się w chacie, matka tylko mu z płaczem mówiła, że znalazła go nad ranem półżywego w lesie. Jacuś przypomniał sobie wszystko, zawstydził się i przyrzekł sobie, że na drugi rok znów po kwiat wyruszy!

I czekał przez cały rok, tylko nikomu o tym nie mówił, bojąc się prześmiewania ludzkiego. Znów doczekał sobótki, ubrał się, jak poprzednio, i poszedł w ciemny las. Droga była też ciężka, choć zupełnie inna. Z początku paproci było mnóstwo, ale na żadnej z nich nie było kwiatu. Na którą nogą stąpił, syczała gniewnie jak wąż, a którą ręką pochwycił, jakby z niej krew ciekła... Zdawało mu się, że szedł rok cały, tak długą wydawała mu się ta droga, a kwiatu nie znalazł. Nie zawrócił jednak, nie stracił serca, ale szedł dalej. Na ostatek patrzy, świeci się coś dziwnie... ten sam kwiatek, co przed rokiem, pięć złotych listków dokoła, a w środku oczko! Podbiega doń, rękę wyciąga, a tu — znów kury zapięły i... znikło widzenie!



Tym razem jednak Jacuś nie omdlał, tylko siadł na kamieniu. Na lzy mu się zbierało, ale gniew poczuł i zawołał:

— Do trzech razy sztuka! — A że i zmęczenie poczuł, położył się na mchu i zasnął. Przysnił mu się widziany niedawno kwiatek, jak śmieje się z niego i języczek mu pokazywał...

Rano obudził się na skraju lasu, niedaleko od rodzinnej wioski, i sam nie wiedział, czy wszystko to sen, czy rzeczywiście mu się przytrafiło. Solennie jednak sobie w duchu przyrzekł, że na przyszły rok koniecznie musi zdobyć ten czarodziejski kwiatek!

I znów mijaly dni, a Jacuś chodził zamyślony i ciągle przemyślał, jak to zrobić, żeby ów kwiatusek zerwać. Tak myśląc, a nikomu o tym nie mówiąc, doczekał kolejnej sobótki.

Tym razem matka nie chciała go puścić do lasu, bojąc się o niego, ale wymknął się jej o zmroku. Wszedł do lasu, a tu znów dziwna rzecz, bo las taki sam, jak co dzień, nic się nie zmieniło w nim. Ścieżki i drzewa znajome, a paproci — na lekarstwo! Ale lżej mu było znajomymi ścieżkami dostać się daleko, więc szedł i szedł, wciąż dalej i dalej... Zaszedł w końcu w gęste krzaki, znalazł też dużo paproci — ale kwiatu na żadnej z nich nie było. Grzebał w nich, aż w końcu, zmęczony, już miał zamiar zrezygnować, gdy wtem... tuż pod nogami zobaczył wymarzony kwiatek. Pięć listków miał złotych, a w środku — oczko świecące. Wyciągnął rękę, pochwycił go. Zapiektło go jak ogniem, ale nie cofnął ręki, trzymał mocno! Kwiat w oczach rosnać począł, a świecił tak mocno, że Jacuś oczy musiał zamknąć, bo go zupełnie oślepiąło... Wciągnął go zaraz za pazuchę, pod lewą rękę, na serce... I usłyszał głos:

— Wziąłeś mnie, szczęście to twoje, ale pamiętaj o tym, że kto mnie ma, ten wszystko może, co chce, tylko z nikim i nigdy swoimi szczęściem dzielić się nie wolno...

Jacusiowi aż w głowie się mąciło od radości, więc na głos ten nie zważał, tylko pomyślał sobie:

— A co mi tam, byle mnie na świecie dobrze było... Poczul też zaraz, że kwiat mu do ciała przylgnął, przyszył i w serce zapuścił korzonki. Ucieszył się nawet z tego, bo bał się, że go zgubi albo mu ktoś go zabierze.

Wracał do domu pogwizdując, zadowolony, z czapką na bakier. Droga przed nim świeciła jak pas srebrny. Z podniesioną głową stąpił Jacuś dumnie, już myśląc o tym, czego ma chcieć i żądać od kwiatu. Najpierw zamarzył mu się pałac, liczna służba i ogromne państwo, a ledwie o tym pomyślał, już się znalazł, zupełnie odmieniony, na skraju lasu, ale w okolicy, której zupełnie nie znał. Ubranie miał bogate, z najprzedniejszej tkaniny, buty ze złotymi podkówkami, pas sadzony, koszulę z najcieńszego śląskiego półtna. Tuż przed nim stał powóz, koni białych sześć w pozłocistych chomątach,

służba w galonach, a kamerdyner — rękę mu podając, ukłonił mu się nisko i do karety go wsadził. W oka mgnieniu byli przed pałacem, na ganku już czekała służba, tylko — ani jednego znajomego, ani przyjaciela, twarze wszystkich nieznanym, pełne jakby trwogi! ... A w pałacu — aż strach, co tu był za przepych i jaki dostatek — tylko ptasiego mleka brakowało!

Opatrzył Jacuś wszystkie kąty, nadziwił się temu przepychowi i bogactwu, i poszedł spać, bo był zmęczony. Obudził się rano głodny, i co mu przyszło na myśl do jedzenia, to po zastawionym stole samo sunęło w jego kierunku! Jadł więc, jadł aż nie mógł już nic wymyślić i jedzenie mu zbrzydło. Wyszedł więc do ogrodu, w którym rosły i drzewa nieznanne, a piękne, i mnóstwo kwiatów; środkiem płynęła rzeka. Otaczał go świat zupełnie mu obcy, inny, piękny, wspaniały, ale nie swój. Otaczali go ludzie, mówiący mu komplementy, nisko mu się kłaniający, że o wsi rodzinnej i o rodzicach zapominał. Prowadzano go do skarbcza, gdzie stosami leżało złoto, srebro, diamenty i inne klejnoty. Myślał nawet czasem, żeby posłać garść jedną albo drugą tego złota matusi czy braciom, żeby pola sobie kupili albo coś z chudoby, ale wiedział, że nie może, bo zaraz by jego bogactwo i szczęście prysnęło...

— Mój Boże — myślał też wtedy — co ja mam się o kogo troszczyć? Czy to oni rozumu i rąk nie mają? Niechaj każdy sobie idzie i szuka kwiatu, a będzie miał wszystko...

I tak żył sobie Jacuś dalej, wymyślając coraz to nowego na zabawę. Przerabiał swoje pałace, zmieniał konie, sprowadzał różne dziwy z końca świata, stroił się w złoto i drogie kamienie. Upięknio lat kilka, tęsknota wielka wzięła w końcu górę, za rodzicami więc wsiadł do powozu i pomyślał, aby się znaleźć przed chatą rodziców. Znalazł się w sekundę przed swoim podwórkiem. Aż lzy mu się z oczy puściły ze wzruszenia. Wszystko to było znane, tylko jeszcze niedźmiesz po jego wspaniałościach się wydawało. Na próg wyszła zgarbiona matka, schorowana i zgarbiona. Nie poznał Jacusia. Potrząsnęła głową, patrząc na niego splakanyymi oczami...

— Jacuś! Wolne żarty, jasnie panie! On miał serce poczciwe i nie chciałby nawet szczęścia, którym by się nie mógł podzielić ze swoimi...

Jacuś stał zawstydzony i upokorzony, oczy spuścił. Kieszenie miał pełne złota, ale co ręką sięgnął, by dać je matce, strach go ogarnął, że wszystko utraci. Serce mu miętko, a kwiat paproci leżał na jego sercu jak pancierz żelazny, i serce mu twardniało. Siadł do powozu i kazał wracać. Ale co się w nim działo, żaden język nie wypowie. Słowa starej matki, że nie ma szczęścia dla człowieka, jeżeli się nim dzielić nie może, brzmiały mu w uszach jak przekleństwo...

Znów minęło kilka lat, w ciągu których Jacuś próbował zagłuszyć wyrzuty sumienia i tęsknotę za swymi. Nie mógł w końcu wytrzymać, znów pojechał do rodzinnego domu. Choć wychudzony Burek za piętę go chwycił, wszedł do chaty. Stara matka leżała na łożku w kątku, popatrzyła nań, nie poznała. Mówić jej było trudno, a Jacuś pytał o nic nie śmiał. Serce mu się krajało, ale zląkł się o własne bogactwo — i wyrwał się z chaty, uciekł. Przybywszy do pałacu, zamknął się w pokoju i płakał. Pod żelaznym pancernym kwiatu, skrępowane i związane, budziło się serce i sumienie. Chciał je związać różnymi sposobami — ale ponad wszystko brzmiało:

„Nie ma szczęścia dla człowieka, jeżeli się nim z drugim podzielić nie może!”

Wychudł Jacuś jak szczapa, zżółkł jak wosk — i w tym swoim szczęściu męczył się nie do zniesienia. W końcu, po nocy bezsennej, kazał się znów wieść do domu. — Niech się dzieje co chce — powiedział — niech ginę, ale dłużej z tym robakiem w piersi żyć nie mogę!

Stanął przed domem. Wszystko było jak przedtem, ale żywej duszy wokoło. Zajrzał przez okno — chata pusta. Wtem żebrak, stojący u płotu, zaczął wołać:

— A czego tam, jasny panie! Chata pusta, wszystko w niej wymarło z biedy, głodu i choroby...

Jakby skamieniały stał ów szczęśliwiec u progu — stał i stał... „Z mojej winy zginęli oni — myślał w duchu — niechże i ja ginę!”

Ledwo wyrzekł te słowa, ziemia się otworzyła i zniknął — z nim i ów nieszczęsny kwiat paproci, którego dziś już próżno szukać by po świecie...

(na podstawie baśni
Ignacego Kraszewskiego)
OPRAC. E. LORENC

NOC

ŚWIĘTOJAŃSKA, CZYLI HEJ — SOBÓTKA, SOBÓTKA...

Czy zdajemy sobie sprawę z tego, że coroczne „wianki”, jak popularnie nazywamy zabawę, organizowaną nad rzeką w czwartkowy wieczór, sięgają korzeniami swej tradycji aż w głąb mrocznego średniowiecza i stanowią jeden z prastarych, słowiańskich obyczajów? Oczywiście, obyczaj ten — w swojej pierwotnej formie — nie dotrwał do naszych czasów, zachowała się jedynie pradawna nazwa „sobótki” — zwyczajowa uroczystość, odbywanie festynów i zabaw nad wodą, gdzie główną atrakcją jest wspólny relaks i puszczanie wianków na wodę. Sięgnijmy dziś do sobótkowych korzeni, porównajmy stary obrządek z „nowymi czasami” ...

Jak podaje Aleksander Brückner w swoim „Słowniku Etymologicznym”, sobótką — to „pierwotnie „dzień poprzedzający święto” jak sobota niedzielę, szczególnie Wielkanoc i Zielone Święta; potem osobliwie „wieczór-noc przed św. Janem”, a więc 23 czerwca, w przesilenie słoneczne, obchodzone przez całą noc śpiewami, tańcami, paleniem ognia”. Tyle A. Brückner — sucho i rzeczowo, a przecież ludowy obrządek sobótki — ten stary, prawdziwy — aż tętnił życiem, barwnym folklorem i swoistą „poezją” — ludowymi pieśniami i przyspiewkami!

W średniowieczu sobótką nie miała „łatwego” życia. Kościół uznał ją za obrządek pogański, a tym samym — potępił. Już w XIV w. biskup poznański Laskarz wydał statut zakazujący „tańców nocnych w wigilie przedświąteczne, tj. w soboty, w wigilie uroczystości przypadających w lecie, a zatem przed świętem Jana Chrzciciela, Piotra i Pawła”. Nasz słynny dziejopisarz Długosz też wspomina w swoich „Dziejach polskich” o tym obrzędzie, wiążąc go z przedchrześcijańskim jeszcze kultem bogów. Oto jego słowa: „Obrządki takowe i niektóre ich zabytki, lubo od pięciuset lat, jak wiadomo, Polacy wiarę chrześcijańską przyjęli, aż do dzisiejszych czasów powtarzają się corocznie w dniu Zielonych Świątek, przypominając bałwochwalstwo pogańskie igryzkiem zwanym w ich języku Stado, ponieważ na nie gromady zbierają się ludzie, którzy podzieleni na stada, czyli rzesze szaleńców i rozkoszników, radzi obchodzą one święta godowaniem i swobodnymi czasami”. A w „Encyklopedii staropolskiej” Glogeria, pod hasłem „Sobótką”, znajdziemy też nieprzychylną temu świętu opinię Marcina z Urzędowa, który uważał ten obrządek za prawdziwie „diabelski”... Czytamy tu: „U nas w wilię św. Jana niewiasty ognie paliły, tańcowały, śpiewały, diabłu cześć i modły czyniąc(!): tego obyczaju pogańskiego do tych czasów w Polsce nie chcą opuszczać, ofiarowanie z bylicy czyniąc, mieszając po domach i opasując się nią, czynią sobótki, paląc ognie, krzesząc je deskami, aby była prawie świętość diabelska, śpiewając pieśni, tańcząc”...

Nie wszyscy jednak byli przeciwni sobótkce. Nawet Jan z Czarnolasu, pisząc słynną „Pieśń świętojańską”, zebrał i przedstawił same dodatnie elementy tego obrzędu, z wrażliwością prawdziwego poety wczuwając się w piękno jego atmosfery, zasadniczy nastrój, różniczne realia, sytuacje i motywy. I właśnie na podstawie Kochanowskiej „Pieśni świętojańskiej” możemy wnioskować, że sobótką była w drugiej połowie XVI wieku bardzo rozpowszechnionym (przynajmniej w niektórych regionach Polski), choć atakowanym przez Kościół, obrzędem ludowym.

Z czasem ceremonialny obrządek sobótkowy przekształcał się w zabawę, w której dominował zabobon. Sobótką i związane z nią wierzenia prostego ludu przyczyniły się do powstawania wielu legend — np. o kwiecie paproci, zakwitającym tylko raz w roku właśnie w noc św. Jana, i innych. Po wsiach panowało też mniemanie, iż najskuteczniejszym lekarstwem na miłość chłopca do dziewczyny jest... podłożenie do łóżka owemu chłopcu kostek z nietoperza! Odbywało się to... a zresztą, posłuchajmy!

W wigilię św. Jana, późnym wieczorem, dziewczęta z całej wsi zbierały się u jednej ze swoich rówieśniczek w domu. Tu, zdjawszy z siebie ubrania (!), pędziły do lasu zabierając ze sobą nietoperza. W lesie wyszukiwały duże mrowisko, wkładały doń nietoperza, a następnie, wzięwszy się za ręce, otaczały mrowisko kołem i tańczyły, śpiewając:

„Biały Jan, biały Jan, w białej Kosulinie,
zielony, zielony, w zielonej bylinie,
a my białe przez Kosuli
i zielone przez byliny —
leluja!”...

A później, gdy z nietoperza zostały już tylko bielutkie kosteczki, zbierały je, aby nieznacznie wsunąć pod pościel upatrzonemu chłopca. Gdy ów młodzieniec przespał się, sam o tym nie wiedząc, na owych kosteczkach, zakochiwał się bez pamięci w tej pannie, która go sobie upatrzyła...

Z napomknien średniowiecznych wynika, że obrządek sobótkowy rozpoczął się od tradycyjnego sposobu rozpalenia „nowego” ognia. Był to sposób pierwotny — przez pocieranie drzewa, a sta-



nowił on najważniejszy ceremonialny element całego obrzędu. W nim to tał się istotny sens całej uroczystości — nie tylko emocjonalna, ale i praktyczna jej strona, stanowiąca symbol zachowania — według pierwotnych tradycji — niezawodnej, trudnej, ale koniecznej umiejętności. To wywołanie „świętego” ognia było wystarczającym powodem do uznania całości obrzędu za pogański i potępienia go przez Kościół. I — co dziwniejsze — ten akt swoistej „mszy ogniowej” stanowił o trwałości i formie całego obyczaju sobótkowego. Wszystkie pozostałe jego elementy nie mogły przetrwać bez tego „rdzenia” — pomału zmieniali się i ginęły. Sobótką przestawała być obrzędem, stawała się bezmyślną zabawą całych zbiorowisk czy grup ludzi.

Oprócz rozpalania ognia, sobótką miała jeszcze jeden element charakterystyczny. Było nim uczestnictwo w zabawie nazwisk wszystkich mieszkańców wsi. Nazwisk, a nie osób — bo tych mogło nie być. Nazywało się to „wypominkami sobótkowymi”, od wprowadzenia nazwisk mieszkańców wsi do pieśni i wypowiedzi. Zapewne w okresie, gdy obrządek był jeszcze w pełni rozwoju, ta strona zabawy była nie tylko emocjonalna, ale i rzutowała na późniejsze życie wsi. Kto nie był wymieniony w owych „wypominkach”, kogo pominięto — musiał ten fakt przyjąć jako osobistą krzywdę, jako oznakę wyłączenia go poza środowisko, odmówienie prawa „swojszczyzny” poważną karę wymierzoną przez ow osobliwy sąd, karę tym poważniejszą, że nie było od niej żadnego odwołania! Jak się to odbywało? Np. w Sandomierskiem — po zapaleniu ognia dziewczęta „ujawszy się za ręce okoliły ogień”, a ogień był z tradycyjnej bylicy, następnie jedna za drugą przesuwały się wokół ognia i śpiewały piosenkę, w której kolejno wymieniały wszystkie pary małżeńskie we wsi. Każda strofka poświęcona była jednemu małżeństwu, np.:

Szerzy się, szerzy bylica po wsi,
Oj, wygnana Szczepanowa samego ze wsi.
A gdzież był wiał, Szczepuś nienoże?
Oj, spałem, moja Maryś, z końmi na dworze...

Nie troszczone się tu o jakiś sens, głównie chodziło o złożenie całości i wymienienie wszystkich osób ze wsi. Czasem były to też piosenki „rajenkowe” — które kojarzyły młode pary, wymieniając najpierw młode dziewczęta, później chłopców, aż do wyczerpania się imion.

Sobótkowe obyczaje różniły się od siebie w zależności od tego, w którym regionie kraju były kultywowane. I tak np. na wschodzie Polski do zwyczajów sobótkowych należało także puszczanie na wodę przez dziewczęta plecionych z kwiatów wianków. Wianki były przeróżne, mieniające się kolorami, a żeby były bardziej widoczne na wodzie — jako że świętowano od późnego wieczoru przez całą noc — zapalano na nich świeczki. Niejedna panna, wypuszczając wianek na wodę, marzyła o rychłym zamążpójściu... I — oczywiście — też śpiewano...

Czyż to wianeczek płynie po wodzie
W trawie, w zieleni
Z zgrają jeleni?
To mój wianeczek płynie
W trawie, w zieleni,
z zgrają jeleni:
Płynie po wodzie,
Płynie po dole...

Tak było dawniej. Jak jest dzisiaj? Dziś, podobnie jak przed wiekami, sobótkowy wieczór i noc świętojańska jest świętem zabawy i wesela. Festyny, pikniki, zabawy... Dzisiejsza sobótką — to jedynie pretekst do potańcówki i wspólnego śpiewu. Pozostał w niej jedynie zwyczaj puszczania wianków i palenia ognisk. Jakże pięknie jest nad Wisłą w czwartkową noc, rozjaśniona tyśiącami ogniami, jarzącymi się i odbijającymi w falach rzeki, którą — podobnie jak niegdyś — płyną dziesiątki i setki misternych wianuszków... Dokoła zaś rozbrzmiewa gwar, śmiech i muzyka...

POGADANKI O HISTORII KOŚCIOŁA

II SYNOD W LYONIE

Papież Grzegorz X (1271—1276) — człowiek umiejący patrzeć realnie na wypadki dziejowe i liczyć się z zaistniałymi faktami — zaraz po wstąpieniu na tron patriarszy ogłosił zamiar zwołania do Lyonu drugiego synodu, który miałby naprawić nieskutecznie realizowany program Kościoła. Synod taki zebrał się późną wiosną 1274 roku i zyskał z czasem nazwę czternastego „soboru ekumenicznego”.

Cel zjazdu w Lyonie można zamknąć w następujących punktach: 1) dalsza reforma Kościoła, 2) zorganizowanie krucjaty przeciw muzułmanom, 3) zawarcie unii w Bizancjum, aby podprządkować Kościół Wschodni papieżowi.

Odnosnie reformy kościelnej postanowiono, że odtąd wybór nowego patriarchy Rzymu odbywać się będzie tylko przez konklawe, czyli przez kardynałów zgromadzonych w jednym miejscu i odłączonych od świata na czas wyboru.

Postanowiono także zorganizować krucjatę. Zaistniała ogromna szansa pokonania muzułmanów, gdyż do Lyonu przybyła delegacja wielkiego chana tatarskiego Abagi z propozycją koalicji przeciw Saracenom. Grzegorz X przyobiecał wysłać w tej sprawie do chana odpowiednie poselstwo, ale wcześniej zaproponował chanowi przyjęcie chrześcijaństwa. Prawdopodobnie chan odczytał tę propozycję jako warunek współpracy i dlatego koalicja upadła.

Sukcesem natomiast zakończył się projekt nawiązania przyjaznych stosunków z Kościołem Wschodnim, gdyż dążył do tego papież i cesarz Bizancjum — Michał VII Paleolog (ok. 1224—1282). Obaj szczerze pragnęli jedności, chociaż powodowały nimi różne racje. Michał Paleolog pragnął zyskać spokój dla świeżo zjednoczonego cesarstwa wschodniego, obawiał się bowiem krucjaty łacińskiej przeciw Konstantynopolowi. Cesarz Wschodu rozkazał swoim delegatom iść na wszystkie ustępstwa i dzięki temu „Unia Lyonńska” została zawarta. Niestety jedność trwała krótko. Zaledwie osiem lat. Następca Grze-



Jerozolima

gorza chcąc zyskać pretekst do działań na rzecz odbudowy łacińskiego państwa w Bizancjum, nazwał Michała Paleologa heretykiem i protektorem schizmy oraz rzucił na niego klątwę. Tak przestała istnieć zerwana przez papieża jedność kościelna i polityczna. Także synod w Konstantynopolu, na który przybyli wszyscy patriarchowie Wschodu opowiedział się przeciwko zawartej w Lyonie unii, odsunął od władzy unickiego patriarchę bizantyjskiego Bekkosa a przywrócił Józefa, który od początku nie ufał łacinnikom. Bekkosa skazano na wygnanie. Zmarł w Bitynii w 1298 roku.

A jak w tym czasie wyglądała sprawa Palestyny po nieudanych sojuszu z Tatarami? Prawie cała Ziemia Święta była znów pod panowaniem muzułmanów. Wolna była jedynie twierdza Akków. Jedynym władcą, który z pobudek religijnych pośpieszył szczerze na pomoc królestwu jerozolimskiemu, był król francuski Ludwik IX, uznany później za świętego. Ludwik postanowił uderzyć na Egipt, główną ostoję islamu. Początkowo odniósł pewne sukcesy, gdyż udało mu się zdobyć twierdzę muzułmańską Damietę. Mahometanie jednak rozbili jego wojska, a samego Ludwika wzięli do niewoli. Aby wykupić siebie i swoich ludzi, musiał Ludwik sprzedać wszystkie dobra należące do korony francuskiej.

KSIAŻDZ LUKASZ

• PORADY • PORADY



POSIŁKI SPRZYJAJĄCE ZDROWIU I URODZIE

Nie zawsze wiemy, jakie posiłki są dla nas wskazane pod względem zdrowotnym i urody. Warto wiedzieć, i przypomnieć o niektórych właściwościach artykułów dla zdrowia i urody niezbędnych:

Miód np. wzmacnia nerwy i serce. Odciąża nerki i wątrobę. Pomaga nam w trawieniu i oczyszcza skórę. Zaleca się zjadanie minimum łyżki stołowej miodu na co dzień — rano i wieczorem.

Kto pije **mleko** i to najmniej pół litra dziennie — ma piękną cerę.

Do potraw nie załujmy **czosnku**, który nie tylko działa antymiażdżycowo, ale wpływa dodatnio na przemianę materii oraz działa odmładzająco. Pomaga również w leczeniu czyraków, egzemy itp.

Obecnie w handlu **cytryn nie brakuje**, a jest ona cudownym środkiem leczniczym i upiększającym. Sok cytrynowy możemy używać do płukania gardła, likwiduje bowiem chrypkę. Z wyciśniętych cytryn zalanych gotowaną letnią wodą, po kilku godzinach uzyskamy doskonałą wodę toaletową. Można ją stosować do pielęgnacji skóry twarzy i rąk oraz do splukiwania włosów po umyciu.

Sok z **marchwi** (pity regularnie) likwiduje uczucie zmęczenia, a jeśli ktoś ma krosty i pryszcze na twarzy, powinien jeść co dzień **żółtko** na twardo (bez białka). Włosy natomiast będą puszyste i lśniące, jeśli przed umyciem natrzemy je żółtkiem rozrobionym z sokiem z cytryny.

ZOFIA

• PORADY • PORADY

Czyżby zamiast pobierania krwi?

O nowej metodzie odczytywania stanu ludzkiego zdrowia szeroko rozpisuje się ostatnio prasa zachodnia. Lekarze w różnych krajach doszli do wniosku, że z analizy włosów można w niektórych przypadkach więcej osiągnąć informacji o chorobie pacjenta niż z analizy krwi i moczu.

Włosy bowiem zbierają i gromadzą znajdujące się w organizmie mikroelementy. Obecnie stwierdzono, że ich zawartość we włosach jest dziesięciokrotnie większa niż w tradycyjnie podawanej analizie surowicy krwi, czy moczu.

Uczni amerykańscy dowiedli, że z analizy włosów można wykryć niedobór cynku w organizmie człowieka, co może być bardzo niebezpieczne dla zdrowia, a uzupełnienie tego niedostatku jest rzeczą łatwą.

Angielscy badacze stwierdzili u chorych na pewną chorobę dziedziczną wysoką zawartość sodu i niedostatek wapnia. We włosach schizofreników jest mniej manganu niż u ludzi zdrowych. Więcej jest w nich natomiast ołowiu i żelaza.

Może dalsze badania pozwolą lekarzom na stosowanie jeszcze jednej metody wczesnej diagnozy różnych ciężkich chorób. Przy pomocy mikroskopu elektrycznego amerykańscy badacze uzyskali fotografię wewnętrznej struktury włosów.

Czyżby zamiast przykrego zabiegu pobierania krwi, oddawać będziemy ścięte włosy?

Aforyzmy

Każdy człowiek ma dwóch nieprzyjaciół: przeszłość i przyszłość. Największym darem, jaki otrzymał, jest teraźniejszość.

Gilbert Cesbron

Humor jest bronią duszy w walce o utrzymanie siebie.

Wiktor Emil Frankl

Cóż znaczy próżność najpróżniejszego z ludzi wobec pychy, która odczuwa człowiek najskromniejszy, czujący się wobec natury i świata człowiekiem.

Nietzsche

Obraz malarski jest czymś pośrednim między myślą a rzeczą.

Samuel Taylor Coleridge



Rozmowy z Czytelnikami

„Szanowna Redakcjo! Piszę do Was, bo jesteście uniezależnieni od Watykanu, i dlatego mam nadzieję otrzymać podstawowe informacje o wysokości majątku, którym dysponuje centrala Kościoła Rzymskokatolickiego. Czytałem i słyszałem na ten temat różne opinie, często z sobą sprzeczne. Informowałem się w tej sprawie u znajomego księdza, który odpowiedział mi wymijająco, że Kościół musi mieć pieniądze celem prowadzenia swej ewangelicznej działalności. Nie otrzymałem konkretnych danych o stanie majątkowym Kościoła Rzymskokatolickiego. Rozumiem, że każda instytucja musi mieć środki materialne, potrzebne do realizowania swoich celów, mam jednak uzasadnione obawy, że Watykan dysponuje majątkiem, którego posiadanie jest niezgodne ze wskazaniami Ewangelii. Zapewne sprawa ta zainteresuje również innych Czytelników Waszego czasopisma. Z poważaniem, Jan Z. z Wrocławia”.

Z dostępnych publikacji na temat Watykanu, najbardziej aktualna jest książka wieloletniego korespondenta PAP, Zdzisława Morawskiego pt. „Watykan z daleka i z bliska”, Książka i Wiedza, Warszawa 1979. Informacje i opinie o stanie czynnego majątku Watykanu przytaczam z książki wspomnianego autora.

Kapitał współczesnego Państwa Kościelnego opiera się przede wszystkim na odszkodowaniu jakie otrzymał Watykan od państwa włoskiego w wyniku układów laterańskich. Wysokość tego kapitału w przeliczeniu na kurs dolara z roku 1976, szacuje się na 9,2 do 14 miliardów dolarów. Cyfry są szacunkowe, bo finansowa działalność Watykanu otoczona jest ścisłą tajemnicą. Po zawarciu układów laterańskich większość kapitałów została zainwestowana w nieruchomościach. Powstało Powszechne Zjednoczenie Nieruchomości, potężna instytucja, która stała się największym właścicielem budynków mieszkalnych, hoteli i innych nieruchomości na terenie Rzymu, Mediolanu, Florencji, Wenecji i innych miast. Watykan jest poważnym akcjonariuszem ogromnego przedsiębior-

stwa ubezpieczeniowego, które prowadzi wszelkiego rodzaju asurancje transportowe, samochodowe, na życie itd. Kontroluje prawie w całości przedsiębiorstwo produkujące ceramikę sanitarną i przedsiębiorstwo produkujące włoski makaron nie tylko we Włoszech, ale i w Stanach Zjednoczonych. Państwo Kościelne jest największym udziałowcem włoskiego banku „Banco di Roma”, akcjonariuszem koncernu, który produkuje gaz oraz koncernu farmaceutycznego. Watykan jest właścicielem wielu innych mniejszych przedsiębiorstw, między innymi wodociągów w Rzymie. Wszystkie te przedsiębiorstwa prowadzone są na modłę firm kapitalistycznych, kierujących się zasadą zdobycia jak największego zysku. Udział Watykanu w różnych przedsiębiorstwach na terenie Włoch i całego świata ulega ciągłym zmianom, które zmierzają do rozproszenia swoich wpływów i internacjonalizacji. Jednym z takich przykładów jest wybudowanie w stolicy Meksyku nowoczesnego, satelitarne miasta na 100 tysięcy mieszkańców. Trudno wymienić wszystkie akcje, wpływy na banki i przedsiębiorstwa z racji posiadanego kapitału, którymi dysponuje współczesne Państwo Kościelne.

Ciekawe są wnioski, którymi Zdzisław Morawski kończy rozdział na temat tajemnicy watykańskich finansów: „Wniosek pierwszy sprowadza się do stwierdzenia, że współczesne Państwo Kościelne, jeżeli nawet poświęca w swej działalności stosunkowo mało miejsca sprawom finansowym, pozostaje jednak potentatem również w dziedzinie materialnej, posiada wielki majątek i wiążące się z tym wpływy i interesy, tak gospodarcze jak polityczne, na znacznych obszarach świata, a przede wszystkim we Włoszech. Wniosek drugi: cała niemal egzystencja materialna Państwa Kościelnego, a w znacznym zakresie również Kościoła katolickiego w świecie, opiera się na dochodach z przedsiębiorstw kapitalistycznych, na zysku z posiadanych akcji, operacji bankowych itd. Innymi słowy, w płaszczyźnie materialnej Watykan jest ściśle powiązany z kapitalistycznym modelem ustrojowym.

Już od kilkunastu lat, od zakończenia II Soboru Watykańskiego, Watykan oficjalnie deklaruje swoją pełną neutralność wobec istniejących we współczesnym świecie form ustrojowych. Nie opowiada się ani za kapitalizmem, ani za socjalizmem. W wielu oficjalnych dokumentach, żeby wymienić niektóre encykliki papieskie oraz dokumenty zatwierdzone przez poszczególne sesje Światowego Synodu Biskupów, Kościół wyraził słowa krytyki pod adresem międzynarodowych monopoli, pod adresem stosunków gospodarczych i społecznych, panujących w ustroju kapitalistycznym. Równocześnie jednak cały majątek Państwa Kościelnego, przynoszący zysk, jest strukturalnie kapitalistyczny. Są to akcje przedsiębiorstw i koncernów kapitalistycznych, w tym również krytykowanych przez Watykan międzynarodowych monopoli. Jest to fakt, który nie może pozostać bez wpływu na polityczną działalność Watykanu i na jego praktyczny, a nie teoretyczny stosunek do poszczególnych form ustrojowych.

Stwierdzenie trzecie dotyczy zgodności działalności finansowej Watykanu z nakazami moralności katolickiej. W tej dziedzinie istnieje między teorią a praktyką głęboka, zasadnicza i trwale ugruntowana w historii sprzeczność... Nikt, lub prawie nikt

wśród współczesnych intelektualistów kościelnych, nie uważa tego stanu rzeczy za zgodny z zasadami moralności chrześcijańskiej. Nikt nie akceptuje sytuacji istniejącej we Włoszech i wielu innych krajach, w której Watykan lub Kościół dzięki posiadanym możliwościom finansowym staje się ośrodkiem określonych wpływów i nacisków politycznych, jest zamieszany, chcąc nie chcąc, w rozgrywki nie mające nic wspólnego z jego rzeczywistą misją. Tak w odległej przeszłości, jak i ze szczególną mocą w ostatnim 20-leciu, pojawiają się w Kościele coraz donioślejsze głosy domagające się zerwania z wszelkim posiadaniem majątku przynoszącego zysk, powrotu w praktyce do wierności ewangelicznej cnoty ubóstwa”.

W jakim stopniu Czytelnicy nasi zaakceptują wniosek p. Morawskiego, pozostawiam to ich osobistemu osądowi. Ze swej strony dodam, że obowiązkiem Kościoła, bez względu na wyznanie, które reprezentuje, jest konieczność nieustannego powrotu do wskazań Ewangelii, ich realizacji w zastosowaniu do współczesnych czasów.

Pana Jana i wszystkich Czytelników serdecznie pozdrawiam.

DUSZPASTERZ

Fotografia mojego dziecka



Już jest lato, ulubiona pora roku wszystkich dzieci. Nadszedł czas przeróżnych zabaw — a mała Małgosia R. z Warszawy, razem ze swoim braciśkiem Marcinem, nareszcie będzie mogła bawić się w Indian na podwórku, a nie — jak czasem — w domu...



rodzina
TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Społeczna Towarzystwa Polskich Katolików. Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. KOLEGIUM REDAKCYJNE PEŁNIĄCE FUNKCJĘ REDAKTORA NACZELNEGO: ks. Edward Bałakier, bp Maksymilian Rode, ks. Tomasz Wójciszewski, ks. Wiktor Wysoczyński (przewodniczący Kolegium) ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Marek Ambroży, Henryk Ciek (redaktor techniczny), Marek Dziegielewski (redaktor graficzny), Małgorzata Kapińska (sekretarz redakcji), Elżbieta Lorenc, Irena Siemiątkowska (korekta).

Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-662 Warszawa. Telefon redakcji: 27-85-42 i 27-03-33; administracji: 27-84-33. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: — do dnia 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następny; — do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; — do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; — do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie 26 zł, półrocznie 52, rocznie 104 zł. Jednostki gospodarki społecznej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przejmują RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Koloratu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Druk PZG Sm. 10, Zam. 637. © 56.

Helena Mniszkówna RĘDOWATA

(112)



— Nie Zjesztą obecnie powracasz do mnie, wybaczyć więc mu jego winy.
— Jesteś zbyt pewny siebie! Skąd wiesz, że powracam?
— Mam cię przecież, dajesz mi nadzieję dość niedwuznacznie.
— Musiałabym wpięrow poznać dokładnie listę mych współzawodniczek. Ile ich było po mnie?..

— Prawdopodobnie tyle, co przed tobą, ale z pewnością mniej niż moich następców w tej kronice hudoarowej — rzekł cynicznie.

Margrabina przeciągnęła się rozkosznie. Prężąc ramiona, mówiła rozwlekłym głosem:

— Jesteś zawsze wspaniały, tylko palisz jakieś zatrute cygare i ono cię czyni odmiennym niż w Rzymie. Ale ja to rozumiem: ten kraj ochładza. Tu nie ma prawdziwie pięknych kobiet. Choć i tu miałeś szanse kolosalne. Znam te północne rywalki. Musiały cię znużyć?

— Zapewne — odrzekł chojnie.

Wera przegięła się bliżej ordynata, poruszając miękko ciałem jak zaspana trytyca; ręką uderzała niecierpliwie po adamszkowej poduszce otomany.

— Jedź na ziemię do Rzymu, sultanie mój! Mówiłam, że cię kocham. Pojedziesz?..

Ordynat wyduł usta z lekceważeniem. W żrenicach igrały mu szatanki śmiechu.

— Po co?.. Gdybym chciał pobić Tolleda i odnowić wspomnienia z paliowego hudoaru, to...

Pochylił się i łobuzerskim uśmiechem popatrzył w oczy margrabiny. Ona przymknęła powieki oddychając szybko. Stopy jej drżały.

— Jestem twoja — szepnęła.

— A widzisz! północ cię nie zmroziła.

Michorowskiemu zmysły wypelżyły na usta. Oczy mrużyły się satyrycznie, ale nozdrza zaczęły wachlować prędkim tempem. Nie poruszył się. Patrzył na leżącą okrągłą figurę Wery, na wypukłą jej pierś i różowe ciało, burzyła mu się trochę krew. Posiadał tę kobietę, dziś ona jest znowu taka sama, oddana mu, zalotna. Tylko chłód jakiś owiewał go teraz mimo wewnętrznej gorączki.

Margrabina położyła rękę na jego kolanach i zaczęła szeptać:

— Lwie mój! Pamiętasz?... tak cię nazywałam. Mon lion.

Oparła się drugą ręką za nim, wisząc półciałem w powietrzu.

— Rzuć w wstrętą lodowatość! to mię podnieca. Ale już dosyć! — syknęła przez namiętnie zaciśnięte wargi.

Po czym rzuciła się w tył jak wąż, wleając z wybuchem:

— Nie patrz tak na mnie! tyle masz drażniacej ironii!... Erzybyło ci stał w oczach, wyglądasz jak lew nad ofiarą. Pyszny jesteś, ale straszny!...

Ordynat zaśmiał się. Wzgarda tryskała z jego głosu.

— Uwalam cię, Wero, od swych szponów, ha! ha! ha!

Głos jego brzmiał dziko.

Margrabina wyciągnęła głowę z ciekawością i błyskiem w oczach. Rzekła ciszej, niespokojnie:

— Ciebie ktoś trzyma... Powiedz, kto jest.. nowa sultanka?... ona istnieje, czuję to.

Ordynat zgniół cygare. Miał już dosyć. Wstał i podszedł do niej, oczy jego piekły żarem. Były istotnie straszne. Usta, wykrzywione ironią, przerażały.

— Wero! zawołał porywczo.

Margrabina podniosła się, wyciągnęła ramiona. Brylanty na palcach błysnęły obfitą zawieją kolorów. Waldemar porwał jej ręce w kostkach i zdusił wściekle. Ona opadła na haftowaną poduszkę otomany, mdlejącym głosem szepiąc:

— Teraz niech nas pokryje mgła..

Waldemar pochylił się i rzekł już spokojnie:

— Tylko panią. Ja odchodzę. Proszę się dobrze bawić w Petersburgu.

Puścił ją i odstąpił.

Wera zerwała się i usiadła. Twarz jej zaszła purpura.

— Odchodzisz?!

— Tak. Wypaliłem cygare.

Uklonił się i wyszedł z cichym, ironicznym śmiechem.

W sali zapytał go młody hrabia Mortęski:

— Gdzie moja kuzynka, ordynacie?

— Margrabina Silva jest w czerwonym gabinecie.

Mortęski mrugnął filuternie.

— Piękna zawsze, prawda?..

— Za wiele szminki: to psuje najklasyczniejsze linie — odrzekł Waldemar z grymasem.

— Cóż pan chce? Czterdziestka!

Ordynat odszedł. Młody hrabia lisim krokiem podążył w stronę gabinetu.

XXXI

— Więc ojczuś stanowczo nie będzie na koncercie i na balu? — spytała Stefcia pana Rudeckiego w dzień wielkiej zabawy.

Nie, dziecko! Jadę do domu jutro, a mam jeszcze bardzo wiele interesów. Stefcia nadała się.

— Ej! tak liczyłam na to. Wolałabym być z ojczuś. Na balu będzie dużo osób nie znanych mi zupełnie i przeważnie z arystokracji.

— Ręda również i obywatele z okolicy, no i główniejsi wystawcy. To przecież bal publiczny na jakiś cel, znajdują się na nim i mniej karmazynowi. Czy bal odbędzie się bezpośrednio po koncercie?

— Tak i w tej samej sali. My nawet na koncercie nie będziemy. Przyjeżdżamy wprost na bal.

Pan Rudecki pożegnał się z córką do następnego dnia. Choć jednak zapowiedział, że na balu nie będzie, wybierał się nań w rzeczywistości, ale jako widz z galerii. Chciał zobaczyć Stefcię w otoczeniu, któremu niezbyt ufał, aby się jej przypatrzeć z daleka, nie będąc widzianym.

Dość wcześnie przyszedł na koncert do sali wielkiego hotelu, znalazł dobre miejsce w krzesłach i równie dobre na galerii. Wśród publiczki siedziało wiele pań ubranych po balowemu, lecz z arystokracji nie było nikogo.

Koncert nie zachwyił pana Rudeckiego, ponieważ znalazł się na muzyce, a grymasił w śpiewie. Ale urządzenie estrady podobało mu się. Był tam brzoźowy lasek, naturalny, wysłany mchem. Pomiędzy drzewami stały krzesła i pulpity dla muzykantów. Zasiadła na nich grupa artystów nie miejscowych, jedynie na czas wystawy przybyłych tu z wielkiej stolicy. Pan Rudecki doznał zawodu: sławna orkiestra nie zachwyła go.

— Tylko tyle, że huczają, ale, dalsi, gdzie tu melodia?

Śpiew i śpiewaczka porwały go jeszcze mniej.

Na estradę weszła młoda panna, dobrej tuszy, w białej wygrosowanej sukni. Obnażone ramiona wyglądały mocno różowo, bez żadnych subtelniejszych odieni. Na piramidce tych różowości piętrzyła się czarna głowa, jak nastrożona czapka angielska. Czarne małe oczki świeciły jak ćwieki wite w bardzo kolorowe tapety.

Wyszła podtrzymując suknię i złożywszy parę ocieźiałych, niemilosłownie wdzięcznych ukłonów, stanęła mnąc w ręku zeszyt z nutami. Po czym zaczęła śpiewać z wzniesioną do góry głową.

Pan Rudecki patrząc na nią doznawał pewnych obaw. Najpierw zdawało mu się, że debiutantka nie przetrwa tej próby, bo kolor jej biustu nabierał coraz więcej makowej barwy. Przy tym tak się widocznie dławiała, że niektórzy ze słuchaczy sięgali do własnych kołnierzyków w przekonaniu, że są za ciasne.

Nagle do uszu ojca Stefci przysunął twarz jakiś młodzieniec siedzący obok, ale rzekł wcale nie szepem, wskazując oczyma pełne ramiona debiutantki:

— Panie, czy to ręce, czy lydki? bo nie mogę rozpoznać.

I nie czekając na objaśnienie, bardzo kontent z siebie i swego dowcipu, zaczął go szerzyć w inną stronę sali.

Gdy nareszcie piskliwe dławienie się umilkło, wszyscy odetchnęli, jakby zwalając ciężar z piersi. To poprzedziło oklaski, których jednak nie skąpieno. Kilka wdzięcznych ukłonów — i debiutantka wolno pomiędzy brzożami zaczęła się oddalać, świecąc z daleka białą suknią i rumianym karczkiem, wyciętym w kwadrat.

— Co ona będzie robiła? — zapytał dowcipny młodzieniec, nie zwracając się wyłącznie do niego.

— Zapewne weźmie zimną kąpiel — odpowiedział jakiś głos z następnego rzędu krzesel.

W czasie ostatniej przerwy wiele osób wyszło na korytarz i marmurowe schody, wiodąc z kontramarkarni. Zaczynał się już tam charakterystyczny ruch przed łalem w hotelu. Biegali lokaje, z cukierni wnoszono torty i piramidy cukrów na podstawach kryształowych. Wnosili kosze kwiatów do ubrania sali. Pan Rudecki, oparty o poręcz schodów, przyglądał się ciekawie.

Ten wstęp do balu miał w sobie wiele znamienności. Cechował go przede wszystkim gorączkowy ruch służby, uwijającej się z gorliwością niemal podniosłą. Rudecki pomyślał, że zawsze tak samo niższe klasy pracują dla umilenia zabawy klas wyższych, uprzewilejowanych i chociaż są płatne, jednak często robią to jakby z dumą, że ich do tego użyto. Rozmyślenia jego przerwał głuchy tupot karety u podjazdu. Kilku lokajów rzuciło się do drzwi. W kontramarkarni zrobił się większy ruch.

— Zaczynają się zjeżdżać, trzeba iść na stanowisko — pomyślał pan Rudecki. Lecz spojrzął jeszcze na dół. Wszło dwóch panów; rozmawiali ze sobą głośno, pochywając się pał z pomocą służących.

— Czy te wycia nie skończone? — rzekł jeden z nich, młody, cienki i lisy już.

Lokaj zgłębł się w ukłonie z przymilającym się służbowym uśmiechem.

— A nie jeszcze, proszę jasnie wielmożnego hrabiego, choć to już czas..

— Nie do ciebie mówię, fagasie — syknął jasnie wielmożny.

Lokaj znowu uklonił się.

— Arystokracja! — szepnął do siebie pan Rudecki.